12 stron

W numerze: JESZCZE O ŚLUBIE KSIĘŻNICZKI ELŻBIETY

Cena 15 zł

Głos ANGLII

★ TYGODNIOWY PRZEGLĄD SPRAW BRYTYJSKICH ★

Rok II

Kraków, 6 grudnia 1947

Nr. 49 (58)



Brytyjski pogląd na przyszłość Niemiec

Mowa min. Bevina na konferencji londyńskiej

Minister Bevin w drugim dniu dyskusji Rady ministrów spraw zagranicznych w Londynie złożył ważne oświadczenie, określające brytyjski punkt widzenia na temat przyszłości Niemiec i jej wpływu na całą Europę. Obrady toczyły się nad pierwszym punktem sprawy niemieckiej, będącym na porządku dziennym: nad przygotowaniem traktatu pokojowego z Niemcami (granice i procedura).

Minister Bevin tym samym odpowiedział na zarzuty ministra Mołotowa, jakoby zachodnie mocarstwa zamierzały stworzyć odrębny rząd niemiecki w trzech strefach zachodnich.

Bevin powiedział: „Panuje u nas ogólne mniemanie, że niemożność osiągnięcia porozumienia czyni z tej konferencji, listopadowej sprawę najbardziej zasadniczą ze względu na pokój i organizację Europy. Podkreśliłem — i nie tłumaczę się, lecz tylko stwierdzam fakt — że użyję wszystkich sił, by osiągnąć porozumienie.

Lecz, by osiągnąć porozumienie, nie wystarczy jedna tylko osoba. Jeśli zaś porozumienie oznacza, że mamy połykać wszystko, cokolwiek ma do powiedzenia inny rząd — jest to bardzo trudne; lecz jeśli istnieje duch kompromisu, wtedy brytyjska delegacja będzie skłonna do współpracy.

Wykazywałem to przecież zawsze, począwszy od konferencji w Poczdamie.

Chciałem stosować tę procedurę tak, jak to uczyniłem, kiedy w Moskwie wysunąłem zasady, na które jak sądzę, nie zwrócono należnej uwagi — by próbować stworzyć centralny rząd niemiecki, ustalić go na zasadach demokratycznych, zapobiec nowej dyktaturze, niezależnie od tego, pod jaką maską chciałaby występować i zapewnić Niemcom takie stanowisko, by mogły wejść w grono narodów.

Nie usprawiedliwiam się z faktu, że kiedy zgodziłem się z Francją co do kwestii Saary i rząd mój poparł mnie, miałem na myśli bardzo słuszne powody, które działały na rząd francuski i które wydały się nam dostatecznie ważną przyczyną, by sprawę załatwić szybko i sprawiedliwie. Nie mogę zrozumieć, dlaczego decyzja nie może być powzięta? Z drugiej strony, jeśli ludzie w W. Brytanii mówią tak, jak to sugeruje p. Mołotow, czy to w parlamencie, czy poza nim, jest to wynikiem bardzo głębokiego przekonania, które obecnie wyrosło w umysłach ludności brytyjskiej, że wykazuję już za daleko idącą cierpliwość, że zwlekam zbyt długo, że nie ma nadziei na porozumienie. Podczas debaty w parlamencie oskarżono mnie nawet, że wykazuję więcej cierpliwości, niż działania, na co odpowiedziałem, że przynajmniej nie zeszedłem jeszcze całkiem do roli Jeremiasza.

Zasadniczą kwestią jest tu pytanie, co właściwie próbujemy zrobić? Czy chcemy, żeby powstał w Niemczech centralny rząd, tak zorganizowany, by ułatwić wprowadzenie w życie jednej, specjalnej ideologii, czy też chcemy wolnych Niemiec? Do czego dążymy? Sądzę, że powinniśmy się starać zrozumieć, co właściwie jest naszym zamiarem. Oskarżono nas o najokropniejsze, całkiem nieprawdziwe rzeczy w związku z Niemcami, znosiliśmy te oskarżenia bez protestu, ale całkiem szczerze oświadczam Radzie, że kiedy mówię, że chcę demokratycznych Niemiec, nie chcę Niemiec niebezpiecznych i odmawiam zgody na taki rodzaj scentralizowanych Niemiec, które by mogły ponownie nam zagrozić. Z drugiej strony chcę Niemcom dać dostateczne siły centralne, konieczne dla ich gospodarczego i politycznego rozwoju i chcę, by powstały prawdziwie kulturalne i politycznie zdrowe Niemcy, ponieważ będzie to z korzyścią nie tylko dla nich, ale i dla wszystkich innych.

Z tego powodu nie mogę się zgodzić na bardzo ciasną definicję w propozycjach, wysuniętych wczoraj przez p. Mołotowa, które nie są — jeżeli wolno mi się tak z całym uszanowaniem wyrazić, a pewien jestem, że przyzna mi słuszność jeśli je rozpatrzy — zgodne z porządkiem dziennym, któryśmy poprzednio uzgodnili. Ale nie skarżyłem się. Szedłem naprzód — dyskutowałem je. Podobnie jak delegacja francuska, nie kłopotałem się zbytnio formami i metodą procedury, według których prowadziliśmy dyskusję, ale nie chcę dać się związać tymi bardzo ograniczonymi zdaniami, by mi później powiedziano, że nie mogę nic zrobić. Wolę rozpatrzyć dokument 78. Wolę przekonać się, czym są kwestie zasadnicze, wolę dokładnie wiedzieć, co zostanie odesłane do zastępców i czym oni będą musieli się zająć, i nie chcę znaleźć się w sytuacji, jaką stworzyły decyzje jałtańskie i inne decyzje, gdzie przyjęto tylko jeden kierunek, który zdawał się wyrażać uzgodnione zasady.

Mój naród chce wiedzieć, co go czeka i jaka będzie jego przyszłość wskutek naszych posunięć dotyczących Niemiec. Bardzo chętnie rozpatrzę dokument 78 a równocześnie dokument 125 razem z zasadami, które podałem wczoraj, ażeby się przekonać, czy będzie można dojść do porozumienia. Czy zostawimy chaos w Europie Czy chaos jest naszym celem? Jeżeli tak, lepiej żebyśmy to wiedzieli. Czy Europa ma zostać nadal podzielona i czy nie ma się dopuścić do jej odrodzenia gospodarczego? Przez dwa i pół lat w naszej strefie, w brytyjskiej strefie, borykaliśmy się z trudnościami ponosząc przeraźliwe koszty, koszty, które musieliśmy ponieść i które zostały poniesione — zdaje mi się—ze stanowczością, przez naród brytyjski. Oświadczam i jestem tego samego zdania co moi koledzy w parlamencie, że jeżeli porozumienie ma być blokowane, blokowane za każdym razem, gdy próbujemy do niego dojść, nie możemy mieć stale do czynienia z chaosem w Europie u naszych najbliższych sąsiadów, tak jak jest obecnie.

Proszę ministra Mołotowa o ocenienie tego stanowiska i jeżeli zostanie ono należycie zrozumiane, czyż nie mogłoby to stworzyć chęci załatwienia naprawdę tego problemu?

Powtarzam w konkluzji to, co powiedziałem w Poczdamie, to co powiedziałem w Moskwie w 1945 i w Nowym Jorku i to co znów powtórzyłem w Moskwie, kiedy wracaliśmy i to co powiedziałem ostatnio — uczynię każdy wysiłek, zmierzający do uzyskania politycznie zjednoczonych Niemiec, opartych, jak to już raz wskazałem, na podstawach demokratycznych w naszym zrozumieniu tego słowa, z rządem federalnym, centralnym, ale nie nadmiernie scentralizowanym, który załatwiałby wszystkie praktyczne zadania.

Będę próbował uzyskać zjednoczenie gospodarcze Niemiec, co jest rzeczą naprawdę bardzo trudną, jeśli weźmie się pod uwagę to, co zaszło od czasu Poczdamu, lecz wyjdzie ono ostatecznie na korzyść ludności W. Brytanii, jeśli rząd brytyjski zdoła je przeprowadzić".

Lecz jeśli nie dojdzie się w końcu do porozumienia, wtedy „nie będziecie mogli w tym stadium sprawy żądać od nas, byśmy wraz z zachodnią Europą pozostali w chaosie i nic absolutnie nie robili; a chociaż rząd brytyjski nie chce nawet dopuścić myśli, że konferencja ta mogłaby nie osiągnąć żadnych rezultatów, nie jestem w stanie określić, jak rząd albo naród brytyjski miałby postąpić, gdyby nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności czterej ministrowie nie mogli dojść do porozumienia na tej konferencji.

Wreszcie, ogłosiłem w Paryżu deklarację, której rząd brytyjski nigdy nie zmieniał. Rozważyliśmy spokojnie i uważnie nasze postępowanie w Europie.

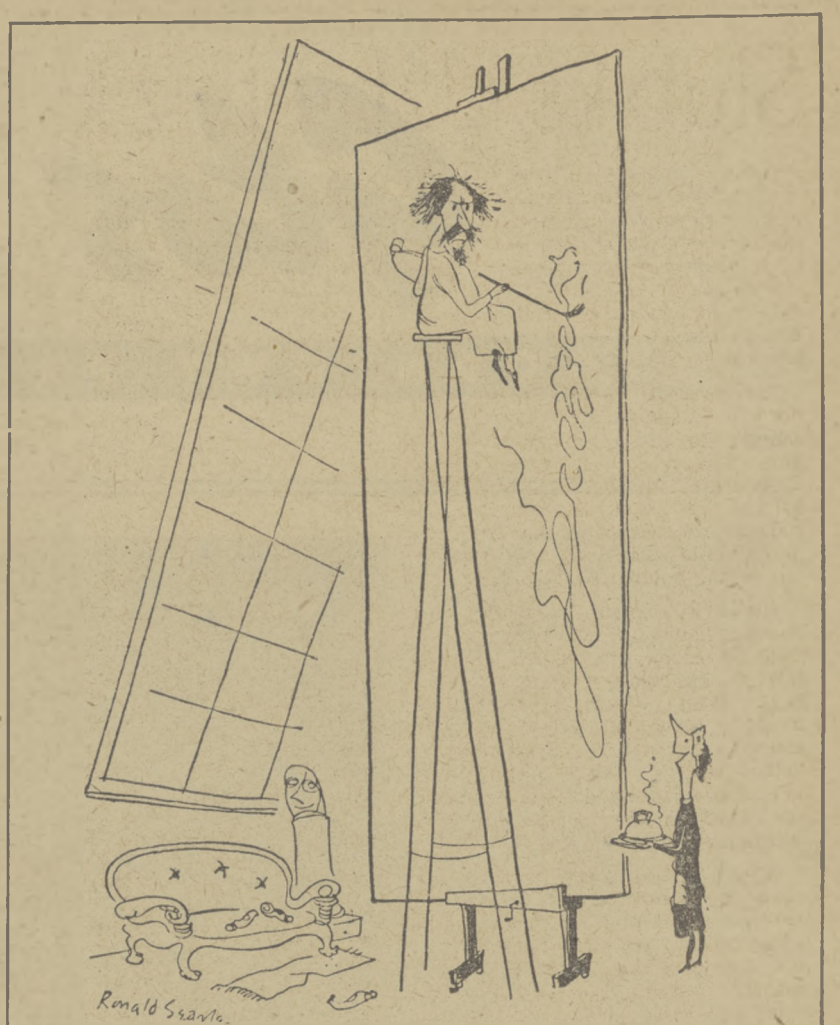
Istniała koncepcja przewagi jednego mocarstwa. Istniała również koncepcja równowagi sił, która dominowała nad polityką europejską przez długi czas.

Stwierdziliśmy słuszność poglądu, że dominacja jednego mocarstwa niewątpliwie doprowadziłaby z powrotem do wojny, i z tego powodu nie możemy się na nią zgodzić.

Sądziliśmy, że równowaga sił i manewrowanie, które pociąga za sobą nie jest korzystną dla Europy polityką i przystaliśmy na współpracę czterech mocarstw, celem utrzymania pokoju w Europie.

Rząd brytyjski nie odstąpił od tej zasady; ma nadzieję i ufa, że jeżeli będzie można ugruntować zaufanie i dojść do porozumienia i kompromisu oraz współpracy — ta polityka współpracy może zastąpić dominację jednego mocarstwa, albo manewrowanie dla utrzymania równowagi sił i że uda się jej dać Europie pokój na setki lat następnych.

Ze względu na to, co tak uparcie twierdzi propaganda i inne czynniki, uważam za słuszne powtórzyć tę deklarację. Z tego powodu popieraliśmy amerykańskie propozycje traktatu czterech mocarstw. Z tego też powodu próbowaliśmy trwać uparcie przy konferencji czterech ministrów i sądzę nadal, że jeżeli spróbujemy dojść do porozumienia polityka ta da się jeszcze zrealizować".



„Hej, Michale Aniele, śniadanko gotowe!" (Liliput)

Kilka słów o małżeństwie chrześcijańskim

Królewskie zaślubiny były czymś więcej, niż tylko wydarzeniem narodowym — były wydarzeniem religijnym. Możliwe, że są jeszcze ludzie, których razi transmitowanie ceremonii religijnych. Z pewnością jednak mało było takich, którychby raził sposób nadania przez radio dla słuchaczy całego świata obrzędu ślubnego, jaki się odbył 20-tego listopada w Opactwie westminsterskim. Transmisja nie umniejszyła w niczym powagi tej uroczystej chwili.

Do transmitowania nadawała się nie tylko muzyka i cała pięknie zorganizowana przez władze Opactwa uroczystość, ale również proste elementy obrzędu ślubnego — wyraźne odpowiedzi panny i pana młodego, dobrze znane słowa, określające charakter chrześcijańskiego małżeństwa, od których zaczyna się obrzęd ślubny, oraz tradycyjne formuły obietnic i zobowiązań.

Ale czyż naprawdę są one tak dobrze znane? Z pewnością dla wielu były takimi, może i dla większości. Jak słusznie powiedział arcybiskup Yorku: „Obrzęd dokonany w tym Opactwie jest we wszystkich swych zasadniczych elementach zupełnie taki sam, jaki byłby dla każdego wieśniaka, biorącego ślub tego popołudnia w małym wiejskim kościółku". Należy się jednak zastanowić, dla jakiej ilości słuchaczy te tradycyjne elementy obrzędu ślubnego zachowały swój istotny sens?

Z pewnością wielu ludzi mało co rozumie z religijnych zwrotów zawartych w modlitewniku, a jeszcze mniej z ważności wielkich tradycyjnych doktryn, których są one wyrazem. W pewnych kołach rośnie stale tendencja, by małżeństwa nie uważać za nierozerwalne.

Chrześcijańska opinia w W. Brytanii zdaje sobie coraz jaśniej sprawę ze swej odpowiedzialności. Duchowieństwo parafialne i duchowni wszystkich wyznań zadają sobie obecnie coraz więcej trudu, by wyjaśnić nie tylko znaczenie chrześcijańskiego małżeństwa tym, którzy przychodzą do nich po śluby, ale by udzielać im również odpowiednich wskazówek przed ślubem. O obowiązkach chrześcijańskiego małżeństwa i życia rodzinnego, starają się oni pouczyć młodzież w czasie przygotowań do konfirmacji, a także przy innych okazjach, stykając się z nią w klubach młodzieżowych i kółkach dyskusyjnych.

Istnieją też rozmaite stowarzyszenia świeckie, dążące do tego samego celu, co stowarzyszenia chrześcijańskie i nawiązujące często z nimi odpowiedzialną współpracę. Na podstawie ustawy z 1937 roku, sędziowie, posługując się skróconą procedurą, mogą zwracać się o pomoc do pracowników wywiadu społecznego, którzy przeprowadzają rozmowy z pozwanymi w wypadkach przestępstw małżeńskich.

Również organizacje opieki społecznej (głównie związek rodzin żołnierzy, marynarzy i lotników) rozwijały i rozwijają nadal działalność o wielkim znaczeniu w zakresie łagodzenia tych przyczyn małżeńskich nieporozumień, które (jeśli się je zaniedba), mogą skończyć się zupełnym zerwaniem.

W czasie wojny działała poradnia prawna dla armii i lotnictwa. Praca jej dała w rezultacie 27.000 pojednań (czasowych i stałych) na ogólną, w przybliżeniu czterokrotnie większą cyfrę zgłoszeń o rozwód. Na koniec mamy jeszcze „Wychowawczą Poradnię Małżeńską", instytucję złożoną z ludzi postępowych i zdecydowanych. W ciągu trzech lat rozwinęli oni działalność, która bez wątpienia będzie uznana za nowy rodzaj opieki społecznej, zasługujący na jak największe poparcie finansowe. Na podstawie zdobytego doświadczenia, założyciele tej instytucji zorganizowali system, który obejmie zapewne cały kraj. W większych miastach znajduje się obecnie między 30 a 40 klinicznych poradni małżeńskich, które udostępniają właściwą pomoc doradczą ze strony lekarzy, duchownych i psychologów.

Ponadto 100 innych miejscowości ma w pogotowiu plany, których realizacji przeszkadza jedynie brak odpowiednich pomieszczeń, względnie odpowiednich doradców.

Wychowawcza Poradnia Małżeńska zdobyła obecnie wystarczające doświadczenie w zakresie przyczyn małżeńskich nieporozumień, oraz metod przeciwdziałania im, by móc podjąć się z kolei szkolenia odpowiednich na doradców ludzi, rekrutowanych głównie spośród pracowników wywiadu społecznego, duchowieństwa i lekarzy. W Londynie odbywają się właśnie takie kursy dla „doradców". Nie ulega wątpliwości, że ludzie znajdujący się w kłopotach będą się zwracali do nich o pomoc.

Największe nadzieje na zmniejszenie liczby rozwodów pokłada się w „leczeniu" nieporozumień małżeńskich od samego początku. Trudno przesądzać, czy wśród milionów, przysłuchujących się ceremonii królewskich zaślubin, znaleźli się tacy, na których wywrze ona wpływ i którzy zmienią swe nastawienie do małżeństwa mimo, iż stracili światopogląd chrześcijański.

Chrześcijanie ufają i modlą się, by ta uroczysta i wzruszająca ceremonia wywołała nowe postanowienia i zachęciła do podjęcia porzuconych ideałów.

Z pewnością mogą oni dziękować Bogu, że życie rodziny królewskiej, na które społeczeństwo zwraca tak baczną uwagę, jest dobitnym przykładem cech chrześcijańskiego małżeństwa.

Póki naród angielski zdolny jest podziwiać prawdziwe chrześcijańskie małżeństwo, póty jest jeszcze nadzieja, że tkwią w nim silne pobudki do realizowania jego zasad we własnym życiu.

Wielebny O. S. Tomkins

POGLĄDY PRASY BRYTYJSKIEJ

POLITYKA ZAGRANICZNA INDII

MANCHESTER GUARDIAN, rozpatrując indyjską politykę zagraniczną, sądzi, że „z postawy delegacji indyjskiej na Zgromadzeniu O. N. Z. można wysnuć przypuszczenie, po jakiej linii pójdzie polityka zagraniczna tego nowego dominium.

W pewnych wypadkach Indie głosowały razem z W. Brytanią, czasami były w opozycji.

Polityka ich jest całkiem niezależna, lecz niezależność ta nie jest uprawiana jedynie na pokaz.

Każde posunięcie było logiczne, z punktu widzenia interesów Indii. W sprawach dotyczących Grecji i Korei, szły one po linii politycznej anglo-amerykańskiej. Podtrzymywały amerykański projekt małego Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych, sądząc, że to przyśpieszy rozwiązanie spraw narodów azjatyckich.

W kwestiach dotyczących Palestyny, trzymały się z dala od syjonistów. Sprzeciwiały się Stanom Zjednoczonym w sprawie przyśpieszenia akcji przeciwko gen. Franco. Sprzeciwiły się przyjęciu Portugalii do O. N. Z.

Co do Indonezji i Indochin, delegacja indyjska nie przedstawiła swoich poglądów, ponieważ sprawy te nie weszły na porządek dzienny obrad Zgromadzenia. Lecz w dyskusji nad Indonezją w Radzie Bezpieczeństwa, gdzie Indie zasiadają tylko w roli obserwatora, zajęły one niespodziewanie umiarkowane stanowisko.

Delegacja indyjska miała najwięcej do powiedzenia nie w Komitecie Politycznym i Bezpieczeństwa, lecz w Komitecie Powierniczym.

Starała się wystąpić w roli opiekuna interesów mniejszych narodów azjatyckich, chociaż nie aprobowała ich flirtów z komunizmem.

Indie przynaglały O. N. Z. do rozwinięcia baczniejszej kontroli nad mocarstwami administrującymi okręgami powierniczymi.

Przy opozycji W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych, zdołały zapewnić sobie większość 2/3 głosów w kwestii rezolucji domagającej się, by Afryka Południowa objęła swoim systemem powierniczym Afrykę południowo-zachodnią.

Z największą ciekawością cały świat obserwował politykę Indii w stosunku do Rosji Sowieckiej. Zdarzyło się kilka razy, że Indie i Rosja głosowały razem przeciwko Ameryce.

Z drugiej strony Ukraina i Indie rywalizowały ze sobą w wyborach do Rady Bezpieczeństwa i były współzawodnikami w dwunastu głosowaniach. Konflikt, jaki się z tego wyłonił, był raczej przypadkowy.

Usiłowania komunistów, by przedstawić Indie jako pionek Ameryki, wyglądały melodramatycznie.

Naogół stanowisko Indii w stosunku do Rosji, najlepiej określić można, jako „poprawne". Nie było żadnej sprzeczności interesów pomiędzy tymi dwoma krajami.

Sukcesy delegacji indyjskiej na Zgromadzeniu O. N. Z. stanowią przyjemny kontrast z trudnościami, z jakimi Indie borykają się obecnie na własnym terenie.

BIULETYNY W JĘZYKU POLSKIM nadaje radio brytyjskie codziennie o godzinie:

6.30—6.45 na fali 1796; 456 49,59; 41,21 m.

14.30—14.45 na fali 1796; 456 31,17, 41,21 m.

19.30—20.00 na fali 456, 40,98, 31,17 m.

22,30—23.00 na fali: 456, 49,59, 40,98, 31,17 m.

Ślub ks. Elżbiety z ks. Edynburga

Piękno wspaniałej ceremonii w opactwie westminsterskim, przepych majestatycznego pochodu, entuzjazm olbrzymich tłumów zebranych wzdłuż trasy przejazdu, promieniejąca szczęściem panna młoda — oto wrażenia, które na długo upamiętnią ten dzień w sercach społeczeństwa brytyjskiego.

Tysiące ludzi czekały przez całą noc koło Buckingham Palace, dalsze zebrały się w ciągu ranka i popołudnia. Okrzykom na cześć rodziny królewskiej nie było końca, toteż księżniczka, książę Edynburga i ich rodzice czterokrotnie ukazywali się na balkonie pałacu, by dziękować za ten wyraz hołdu i przywiązania.

Słońce kilkakrotnie przebiło mgłę szarego listopadowego poranka i oświeciło orszak, przejeżdżający z pałacu do kościoła. Trafalgar Square i ulica Whitehall były tak nabite ludźmi, że mowy nie było o przejściu tamtędy, chyba przez wysypaną piaskiem jezdnię. Nieprzebrany tłum koło Opactwa składał się ze Szkotów, Irlandczyków i przyjezdnych ze wszystkich stron Anglii.

Wśród wiwatującego i powiewającego chustkami mrowia ludzkiego przejechała najpierw królowa-matka i zagraniczni królowie, potem królowa i księżniczka Małgorzata w oszklonej karocy. Szczególnie gorąco powitano króla, który w mundurze marynarki jechał z ks. Elżbietą paradną, irlandzką karocą, eskortowaną przez konną gwardię przyboczną w galowych mundurach.

Najpierw rozległy się dzwony kościoła św. Małgorzaty; odpowiedziały im dzwony Opactwa w chwili, kiedy panna młoda podjechała pod zachodnią bramę świątyni.

Wewnątrz Opactwa zmieściło się 2.500 osób, przedstawiciele wszystkich części świata i każdej warstwy społecznej. Na stopniach prezbiterium oczekiwał pan młody, również w mundurze marynarki, z gwiazdą Orderu Podwiązki, który król nadał mu poprzedniego dnia.

Księżniczka, wyglądająca pięknie w swej błyszczącej, białej sukni, gdy kroczyła powoli przez nawę wsparta na ramieniu ojca — a dokładnie o godz. 11.44 arcybiskup Canterbury dr. Fisher wymówił sakramentalne słowa: „Oznajmiam, że jesteście mężem i żoną".

Arcybiskup Yorku, dr. Garbett wygłosił przemówienie, którego pełny tekst podajemy obok.

Państwo młodzi wrócili do pałacu w szklanej karocy — całą drogę towarzyszyły im okrzyki „Good luck" (życzymy szczęścia!). Napór tłumu przerwał kordon policji koło Buckingham Palace i wielu osobom udało się wejść za karocą aż na podwórze pałacowe.

Nastąpiło śniadanie ślubne, król wzniósł szampanem toast na cześć państwa młodych. O godz. 1.30 okrzyki: „Chcemy pannę młodą" sprowadziły młodą parę na balkon, gdzie wyszli również oboje królestwo i drużki. O godz. 3.30 księżniczka, wciąż jeszcze w ślubnej sukni, wyszła powtórnie z mężem na balkon, a po paru minutach pokazali się tam wszyscy członkowie rodziny królewskiej. Zgromadzeni na placu cierpliwie oczekiwali teraz wyjazdu młodej pary w podróż poślubną.

Scena, która się obecnie rozegrała, była najbardziej wzruszającą chwilą z całego tego uroczystego dnia. Państwa młodych żegnali król, królowa, ks. Margaret i królewscy goście, stojąc na schodach, wiodących do głównych drzwi pałacu. Deszcz płatków różanych obsypał wsiadających do karety nowożeńców, którzy udali się na dworzec kolejowy Waterloo.

Wzdłuż całej trasy do Broadlands, siedziby hrabiego Mountbatten, gdzie państwo młodzi udali się z Londynu, liczne osoby zgromadziły się, by witać przejeżdżających. Stację Romsey iluminowały reflektory samochodów, które przywiozły tam wielu ciekawych.

Tak zakończył się ten dzień, którego przebieg cały świat śledził z życzliwym zainteresowaniem. Całe Imperium, Stany Zjednoczone, kontynent europejski i W. Brytania wzięły udział w ceremonii, przysłuchując się jej przez radio. W Londynie uroczystości trwały do późnej nocy, a tych, którzy spędzili cały dzień koło pałacu Buckingham, zastąpili wieczorem inni, równie wytrwali i życzliwi widzowie.



Bagshot Park, Surraj, dom, w którym mieszkać będzie z mężem ks. Elżbieta

Państwo Młodzi dziękują za życzenia

Księżniczka Elżbieta i książe Edynburga, przejeżdżając przez Londyn do Szkocji, by spędzić tam resztę miodowego miesiąca, polecili wyrazić w następujących słowach podziękowania „wszystkim, którzy przysłali im życzenia ze wszystkich stron świata": „Zanim dziś wieczorem opuścimy Londyn, pragniemy oświadczyć, że przyjęcie, jakie nam zgotowano w dniu naszego ślubu i żywe zainteresowanie okazane nam przez naszych rodaków oraz życzliwych nam we wszystkich stronach świata ludzi, wywarło na nas wrażenie, które się nie zatrze!"

„Nie znajdujemy słów, by wyrazić to, co czujemy, ale przynajmniej możemy złożyć najszczersze podziękowania milionom, które przesłały nam te niezapomniane życzenia na nową drogę życia".

Who is who

Zamieszczamy spis osób, które znajdują się na fotografii tytułowej ostatniego numeru (48/57) Głosu Anglii.

Na pierwszym planie stoją od lewej ku prawej: królowa matka Mary; księżna grecka, matka pana młodego; paziowie: książę William of Gloucester i książę Michael of Kent; król Jerzy VI; królowa Elżbieta; markiza Milford Haven (wdowa); na drugim planie (od lewej ku prawej) drużki: Hon. Margaret Elphinstone, Lady Pamela Mountbatten, Lady Mary Cambridge i księżniczka Aleksandra of Kent; drużba i przyjaciel pana młodego, markiz of Milford Haven; młoda para; drużki; księżniczka Margaret, Lady Caroline Montagu Douglas-Scott, Lady Elisabeth Lambert i Miss Diana Bowes Lyon.

Uwaga

W związku z prośbami Czytelników, zawiadamiamy, że pisma i publikacje angielskie znajdują się w poczekalni naszej Redakcji, gdzie są do dyspozycji Czytelników codziennie od 10—13 i od 14—16.

„Dom wasz będzie oazą pokoju"

Przemówienie arcybiskupa Yorku, dr Garbetta do Państwa Młodych

Arcybiskup Yorku w swym przemówieniu do księżniczki Elżbiety i jej męża, powiedział:

„W obecności tego zgromadzenia i wobec niewidzialnych słuchaczy ze wszystkich części świata staliście się obecnie mężem i żoną. Nigdy przedtem obrzęd zaślubin nie wzbudził tak silnego zainteresowania tylu ludzi — a co więcej zainteresowanie to nie było bierne; towarzyszyły mu serdeczna modlitwa i szczere życzenia milionów oraz pragnienie, abyście przez całe wasze życie mogli się cieszyć zupełnym szczęściem i radością. Jedno z Was, córka naszego ukochanego króla i królowej, zdobyła już urokiem i prostym wdziękiem miłość wszystkich, drugie zaś, jako marynarz, ma zapewnione miejsce w sercach narodu, który wie, ile zawdzięcza mocnej tarczy królewskiej marynarki.

Pomimo jednak przepychu i narodowego znaczenia obrzędu zaślubin w tym Opactwie jest on we wszystkich swoich zasadniczych elementach dokładnie taki sam, jakim byłby dla każdego wieśniaka, biorącego ślub tego popołudnia w małym wiejskim kościółku. Złożono te same śluby; odmówiono te same modlitwy i udzielono tych samych błogosławieństw. Wszędzie i zawsze obrzęd ten polega na składaniu ślubów i otrzymywaniu błogosławieństwa.

UROCZYSTE PRZYRZECZENIE

Każde z was przysięgło indywidualnie, kiedy przed Bogiem i ludźmi złożyliście uroczyste przyrzeczenie, że cokolwiek się zdarzy w dobrym, czy złym, chorobie czy zdrowiu, będziecie zawsze wierni jedno drugiemu, „dopóki śmierć Was nie rozłączy".

Złożyliście to wielkie przyrzeczenie ochotnie i chętnie, ponieważ pokochaliście się niesamolubną miłością. Miłość musi być zawsze niesamolubna, a brak egoizmu jest istotną tajemnicą szczęśliwego pożycia małżeńskiego. Owa cecha musi okazywać się nietylko w wielkich chwilach heroicznego samozaparcia, ale codziennie, w drobnych trudnościach i okolicznościach powszedniego życia. Miłość, to troskliwość i cierpliwość; gotowość do współczucia i wyrozumiałości; wspólne omawianie i dzielenie się specjalnymi zainteresowaniami i troskami, które każde z was będzie miało.

I w ten sposób krocząc po drodze życia, nauczycie się wspólnie podejmować jego ciężary, odbywając tę podróż razem w szczęściu i ufności. Dzięki temu brakowi egoizmu, kiedy wzajemnie pomagać sobie będziecie, dom wasz stanie się oazą pokoju i odpoczynku w życiu, które z pewnością będzie najeżone obowiązkami publicznymi i stawiać wam będzie wymagania poświęcenia waszego czasu. Szczęśliwe i pozbawione egoizmu wasze życie rodzinne pozwoli wam na bardziej bezpośrednie wniknięcie w radości i smutki narodu, który odczuwa głęboką i instyktowną miłość do swych ognisk rodzinnych.

NIEWIDZIALNY GOŚĆ

Ale obrzęd ten jest czymś więcej, jak tylko złożeniem uroczystych przysiąg. Jest również błogosławieństwem. Gdyż tylko dzięki Bożej pomocy możecie dotrzymać obietnic, które złożyliście. Błogosławieństwo Boże zostało wam dane, abyście mogli żyć w tym życiu tak, by na tamtym świecie odebrać nagrodę wiekuistą. Jest tu wśród was niewidzialny Chrystus, by was pobłogosławić. W Nim jest miłość doskonała i On będzie zawsze blisko, by wam pomagać i wami kierować. Jego doskonała miłość pogłębi wasze uczucie. Im bardziej zbliżycie się do Niego, tym bliższymi będziecie sobie wzajemnie. Pozwólcie, aby On był zawsze niewidzialnym gościem w waszym domu. Módlcie się do Niego co dzień. Módlcie się co dzień za siebie wzajem. Czyńcie to codzień, prosząc o Jego pomoc i błogosławieństwo.

Tak więc przepełnieni wielką, ufną nadzieją, wiedząc, co dzień ten oznacza dla was samych i narodu, będziemy wam towarzyszyć myślą, gdy wyjdziecie z Opactwa do tych tłumów czekających nazewnątrz, by was z upragnieniem powitać, jako męża i żonę. Idziecie w życie, otoczeni serdecznymi życzeniami wszystkich tu obecnych. Oby miłość Boża zawsze was osłaniała i otaczała opieką. Oby Bóg dzień po dniu, teraz i zawsze, przez całe wasze małżeńskie życie, nie szczędził wam radości, wszelkiego błogosławieństwa, pokoju i szczęścia.



Nieprzeliczone tłumy ciekawych zgromadziły się wzdłuż trasy orszaku

SOMERSET MAUGHAM

„ROMANTYCZNA DAMA"

W Nr. 50 „Głosu Anglii" ukaże się opowiadanie pod tym tytułem, przez słynnego autora „Ashendena", „Malowanej Zasłony" i „Uliczki we Florencji".

STULECIE MELBOURNE



Widok na Burke Street, główne centrum handlowe Melbourne Olbrzymi gmach na pierwszym planie — to Myer Emporium, największe magazyny na półkuli południowej.



Malowniczy widok na Melbourne znad rzeki Yarra



Widzimy tutaj różnorodność stylów architektonicznych Melbourne Po prawej stronie kościół szkocki, naprzeciw niego budynki towarzystw ubezpieczeniowych

Sto lat temu królowa Wiktoria nadała Melbourne patent, który z małej i młodej — bo dwunastoletniej! — mieściny, uczynił stolicę Stanu. Dzisiaj Melbourne jest siódmym co do wielkości miastem Commonwealthu, a drugim w Australii, i posiada 1,800.000 mieszkańców.

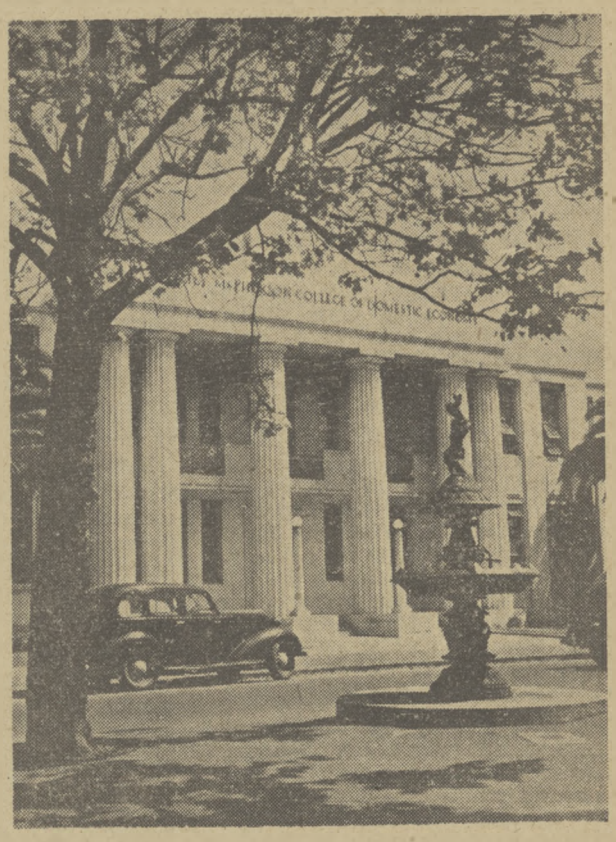
W 12 lat po przybyciu założycieli Melbourne, którzy celem zakupu ziemi udali się w górę rzeki Yarra i weszli w porozumienie z tubylcami, miasto posiadało już 14.000 mieszkańców. Wedle słów kronikarza: „Od 1847 r. Melbourne miało prawie wszystkie instytucje, spotykane w wielkich miastach".

Kronikarz opisuje z dumą Towarzystwo Muzyczne, teatr i Szkołę Sztuk Pięknych oraz Instytut Mechaniki, gdzie gromadzili się intelektualiści, by wysłuchiwać co miesiąc odczytu naukowego, lub obejrzeć miniaturowe muzeum.

Okręg Port Philip (obecnie Victoria), którego centrum stanowi Melbourne, posiada około 4,000.000 owiec i 32.000 sztuk bydła. Życie gospodarcze rozwijało się tu przy udziale dwu banków, kilku towarzystw asekuracyjnych, towarzystw okrętowo-przewozowych, sporej ilości magazynów i sklepów i trzech dzienników. Fabrykanci zapoczątkowali przemysł żelazny, budując odlewnie, skąd wychodziło żelazo na traktory, wagony i maszyny do prasowania wełny. W mieście było też kilka dorożek... Mimo wszystkich tych wspaniałości, przechodnie na głównych ulicach często potykali się na pniakach, lub niedaleko centrum miasta tonęli po kolana w błocie.

Najstarszym kościołem w Melbourne była drewniana budowla (5 m na 4), gdzie w niedzielne ranki odprawiano nabożeństwa anglikańskie. Nabożeństwa prezbiterianów i metodystów odbywały się tam kolejno w niedzielne popołudnia. W ciągu tygodnia kościół służył jako szkoła.

Kiedy biskup Terry przybył do swej nowej diecezji na początku 1849 r. zastał tam dwa kościoły anglikańskie, trzy kościoły metodystów, dwa prezbiteriańskie, jeden rzymsko-katolicki i jeden kościół niezależny. W ubiegłym roku otwarto pierwszą synagogę żydowską.

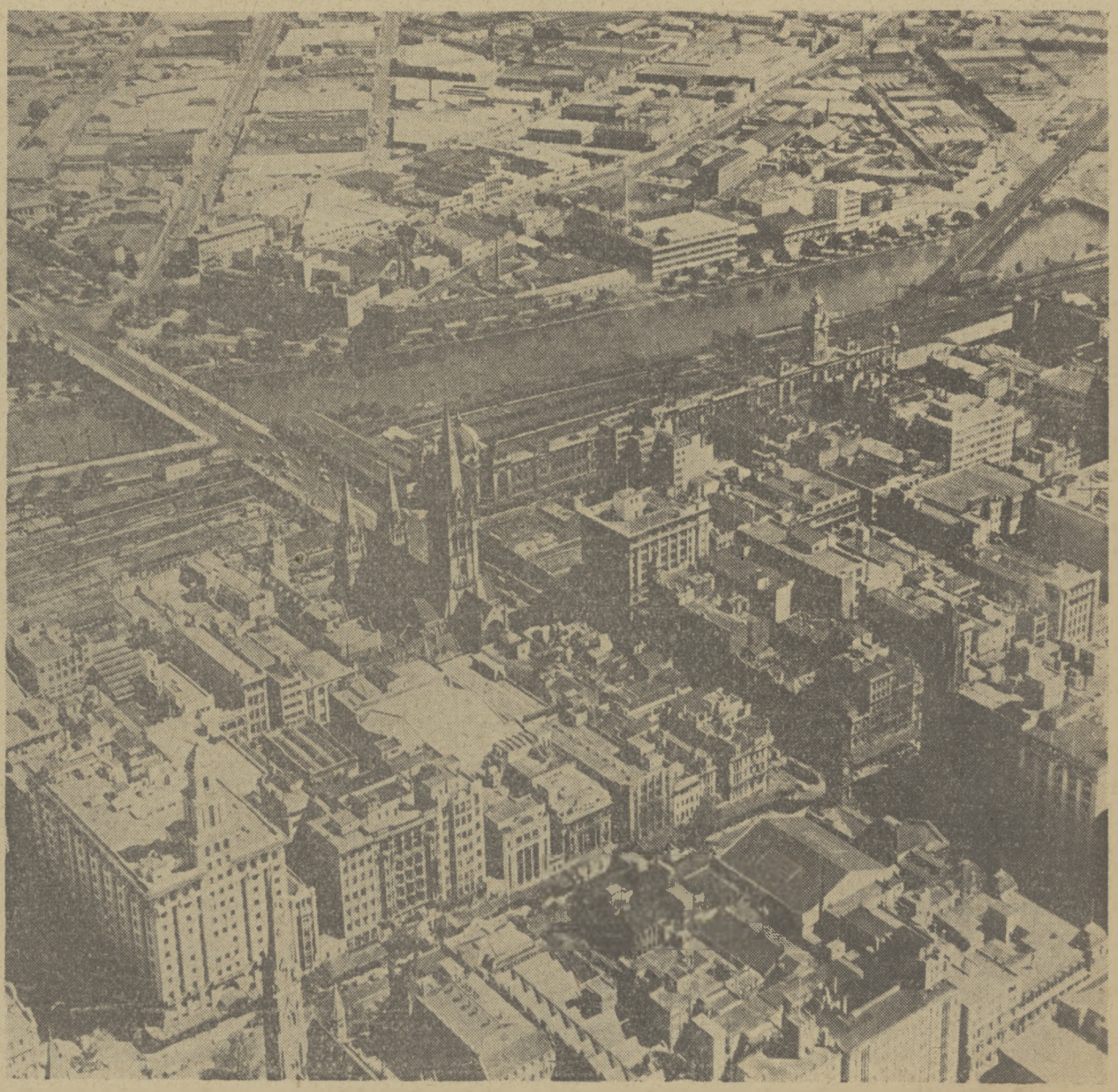


Szkoła ekonomii imienia Emilii McPherson. Budynek powstał w r. 1926. Został odznaczony jako najlepsze dzieło architektoniczne tegoż roku.

Baptyści mają także swoje zbory, ale z powodu braku chrzcielnicy ludzie, chcący się ochrzcić, muszą być zanurzani w morzu, niedaleko miejsca, gdzie obecnie znajduje się bardzo uczęszczana plaża.

Około 1847 r. wybudowano nad rzeką Yarra tymczasowy most, bardziej dla wygody bydła niż przechodniów pieszych; położono kamień węgielny pod budowę Powszechnego Szpitala w Melbourne; a Rada rozpatrzyła kwestie podziału gruntu, oświetlenia miasta, imigracji, budowania dróg.

W następnym stuleciu miasto Melbourne rozwinęło się wspaniale. Równocześnie ze wzrostem zaludnienia wznoszono piękne budynki. W 1850 r. gorączka złota ogarnęła Australię; nastąpił później okres zdobywania nowych obszarów pod pastwiska i uprawę roli, rozbudowy linii kolejowych i wzmożonej wytwórczości, która doprowadziła do olbrzymiego rozwoju współczesnego przemysłu.



Widok z lotu ptaka. Yarra dzieli centrum miasta od przedmieść południowych. Nad brzegiem rzeki widzimy dworzec kolejowy Flinders Street, jeden z najruchliwszych na świecie.

AUSTRALIA potrzebuje ludzi

Australia planuje wchłonięcie 70.000 imigrantów rocznie, aby uzupełnić braki w swym zaludnieniu. Tę wielką wyspę — kontynent mórz południowych, o powierzchni równającej się w przybliżeniu obszarowi Stanów Zjednoczonych, zamieszkuje 7,5 miliona ludzi. Większość, to Brytyjczycy z pochodzenia. Imigranci przybędą przede wszystkim z Wielkiej Brytanii, przewiduje się jednak również napływ ludności z różnych innych krajów.

W 1945 r. rząd australijski wyłonił specjalną komisję, która miała odwiedzić Europę i zorientować się w poszczególnych krajach, co do możliwości „rekrutowania odpowiedniego narybku imigranckiego".

Komisja ta zaraportowała, że oprócz Zjednoczonego Królestwa kilka państw europejskich jest w stanie „zaopatrzyć" Australię w wielotysięczne rzesze ludzi, mogących zostać obywatelami Australii.

Niestety, ogólnoświatowe ograniczenie ruchu pasażerskiego na liniach żeglugowych i brak mieszkań w Australii powodują to, że emigracja z Wielkiej Brytanii ledw· się zaczęła i na razie nie wiadomo o jakichś większych transportach emigrantów spoza Imperium.

Australia — jako kontynent ludzi „białych" — liczy sobie zaledwie 150 lat historii. Pierwszą kolonię założyli tu w Sydney Anglicy w roku 1788. Odtąd państwo wzrastało przez imigrację i przyrost naturalny, aż osiągnęło obecny poziom ludności — 7,5 miliona mieszkańców.

Podczas wojny rząd australijski doszedł do wniosku, że ludność jest za mało liczna, aby sprostać idącemu wciąż naprzód rozwojowi kraju (pełnego bogactw naturalnych), i rozwojowi przemysłu. Oprócz tego dużą rolę grały względy obronne. Doświadczenia innych państw pouczyły Australię, że dla narodu na tym poziomie rozwoju konieczny jest taki tylko wzrost zaludnienia, który by nie zachwiał równowagi ekonomicznej, ani nie obniżył stopy życiowej wynosić w warunkach australijskich — 2% rocznie, co stanowi 140.000 osób. Z tego na przyrost naturalny przypada 70.000. Pozostałe 70.000 należy osiągnąć przy pomocy imigracji. W roku 1945 podano do wiadomości publicznej, że tak długo, jak na to pozwolą warunki, Australia będzie się starała uzupełnić swój niedobór ludnościowy przez znalezienie 70.000 nowych obywateli rocznie, spośród chętnych do emigracji w różnych krajach zamorskich. Wkrótce potem rządy australijski i brytyjski podpisały umowę, zapewniającą wolny przejazd do Australii byłym wojskowym i ich rodzinom i przejazdy ułatwione innym obywatelom brytyjskim. Umowa weszła w życie 31 marca 1947 r. Od tego czasu 185.000 osób zarejestrowało się w Domu Australijskim w Londynie na wyjazd.

Lecz Australijczycy nie chcą dopuścić, aby zatriumfowały te trudności, o których mówiliśmy wyżej: trudności transportowe i mieszkaniowe. Energiczne programy budowlane znajdują się już w stadium realizacji i robi się naprawdę wszystko, co możliwe, aby uzyskać statki dla imigrantów. W najbliższym czasie zaczną swoją pracę trzy byłe transportowce wojskowe.

Trudności jednak ciągle jeszcze istnieją. Australia musi więc na razie ograniczyć swoje plany imigracyjne. Przemysł australijski potrzebuje przede wszystkim wykwalifikowanych handlowców — imigranci tej branży mają wobec tego pierwszeństwo przejazdu, zwłaszcza gdy na przykład ich krewni czy przyjaciele w Australii mogą im zagwarantować mieszkanie. Fakt, że ci ludzie nie gmatwaliby programu mieszkaniowego, ułatwiłby znacznie sytuację ich następcom — w okresie, kiedy zagraniczna imigracja stanie się wreszcie aktualna.

Plany Australii przewidują między innymi zorganizowanie imigracji na drodze układów między rządem australijskim i rządami krajów nie-brytyjskich. W 1946 r. zawarto układ z Holenderską Fundacją Emigracyjną, na mocy którego co miesiąc ma opuszczać Holandię pewna, niewielka liczba robotników rolnych, udających się do Australii. Podróż powinna im zorganizować Fundacja na holenderskich liniach żeglugowych. Inne układy zawierane będą później, w miarę pelepszania się warunków transportowych.

Istnieje też zupełnie swoisty rodzaj emigracji do Australii. Państwo to (mimo, że dało pierwszeństwo w emigracji obywatelom Zjednoczonego Królewstwa, jako Brytyjczykom) kierując się pobudkami humanitarnymi, nie zawahało się otworzyć swoich bram dla tysięcy t. zw. D. P. — tj. osób przesiedlonych i uciekinierów z Europy Środkowej. Krótko mówiąc — dla rozbitków wojennych.

Do końca 1945 r. przeszło 6000 osób, które cierpiały w Europie prześladowania rasowe czy polityczne — zawinęło do bezpiecznych portów. Wiele innych osób otrzymało pozwolenia na wyjazd — po „wywołaniu" przez krewnych, którzy zdecydowali się je zabrać do swoich domów w Australii.

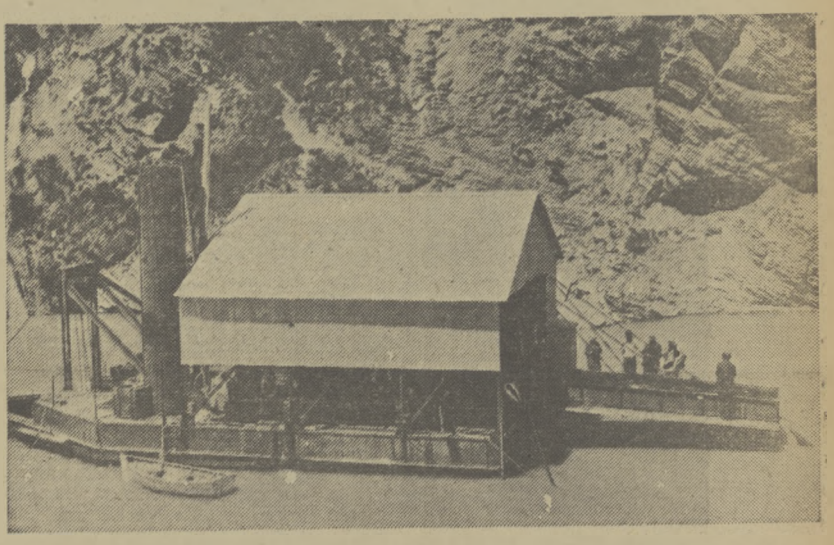
W styczniu 1947 r. minister Imigracji oświadczył, że Australia z pobudek czysto humanitarnych zrobiła wszystko, co tylko możliwe, aby dać możliwość wjazdu rozbitkom wojennym.

Aby zapewnić sukces długo terminowej, australijskiej polityce populacyjnej — plany imigracyjne oparto na zasadach naukowych. Chodzi o to, aby zorientować się w fachowości i zdolnościach imigrantów i rozmieścić właściwych ludzi na właściwych miejscach w tych gałęziach przemysłu, które najbardziej potrzebują rąk do pracy. Liczba imigrantów różnych kategorii zależy więc od zdolności i fachowości samych ludzi, jak i od możliwości wchłonięcia tych ludzi w społeczną i ekonomiczną strukturę państwa.

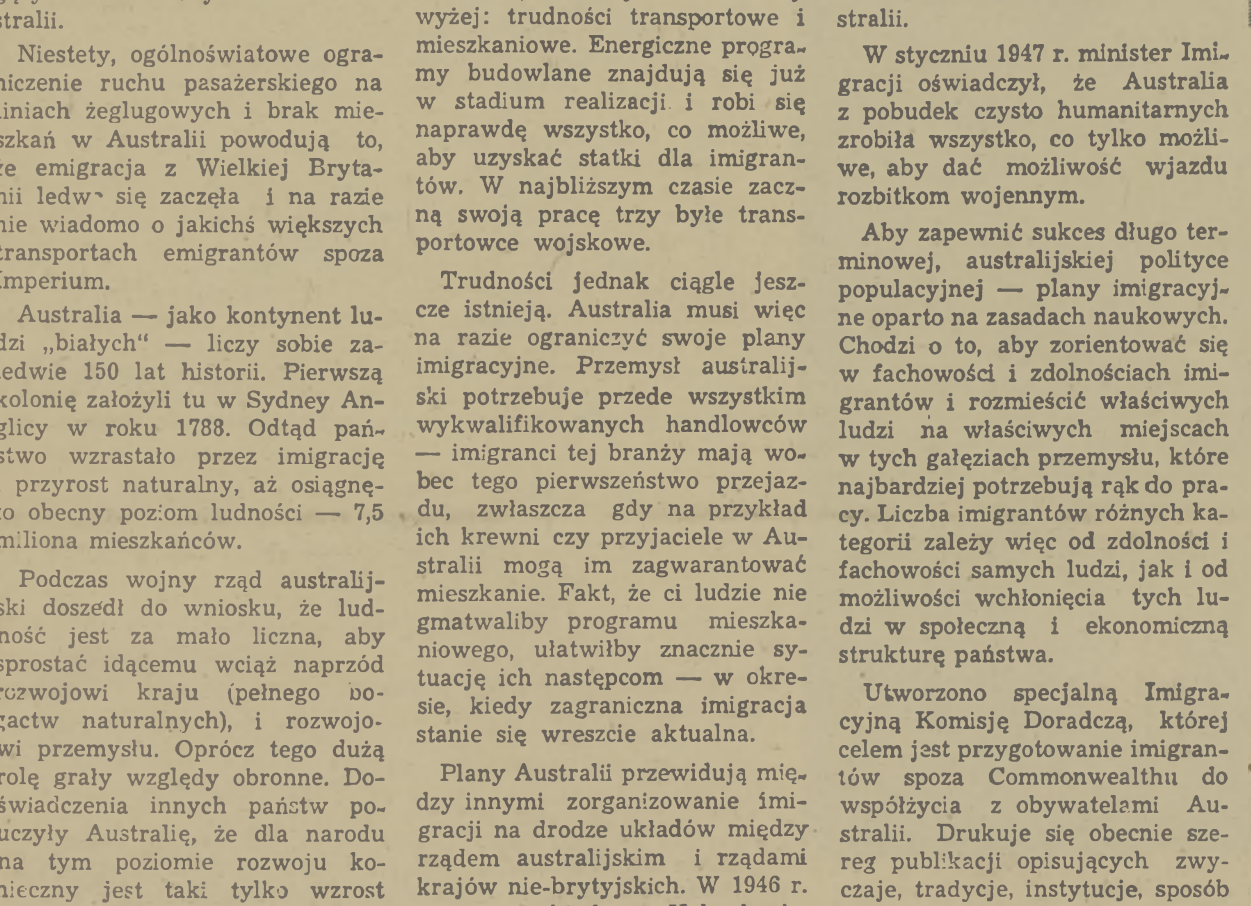
Utworzono specjalną Imigracyjną Komisję Doradczą, której celem jest przygotowanie imigrantów spoza Commonwealthu do współżycia z obywatelami Australii. Drukuje się obecnie szereg publikacji opisujących zwyczaje, tradycje, instytucje, sposób i warunki życia w Australii. Da to ludziom rzetelną wiedzę o państwie, w którym pragną się na stałe osiedlić — i dla którego będą pracować.



Przed paroma miesiącami do Sidney przybyło 200 robotników budowlanych. Australia ma ich sprowadzić 600. Wszyscy służyli w armii i są nieżonaci Wiek ich waha się od 21 do 46 lat.



Zatoki czasami bywają mniej gościnne niż kontynent



Pierwszy budynek ukończony przez imigrantów szkockich w Canberra, 22-letni stolarz jest dumny ze swojego dzieła.



Wśród różnorodnych krajobrazów Australii bywają i takie „alpejskie" widoki

NASI PRZYJACIELE PTAKI



MOTTO:

Wróbelek jest mała ptaszynka
Wróbelek istotka niewielka,
On brzydką stonogę pochłania —
Lecz nikt nie popiera wróbelka.

Więc wołam: czyż nikt nie pamięta,
Że wróbelek jest druh nasz szczery?
— — — — —
Kochajcie wróbelka, dziewczęta,
Kochajcie, do jasnej cholery!

Ildefons
(„Przekrój" nr 126)



Wróbel „brzydką stonogę pochłania" (jak mówi poeta Ildefons).

Wyobraź sobie, że jest lato. Ciepło robi się na samą myśl! Słońce... zieleń... Idziesz sobie na spacer, po, że tak powiem, krajobrazie Anglii z myślami i kapeluszem na bakier!

Jak myślisz, miły wycieczkowiczu? Kto jest teraz naprawdę twoim przyjacielem?

Ani zgryźliwe komary, ani brzęczące muszki, obsiadające cię natrętnie, ani ćmy, których gąsienice poobgryzały te piękne listeczki, ani krety, ani myszy, ani króliki włażące ci w jarzyny, ani lisy („Chciałabym mieć na zimę nowe futro z lisów"). Nie, lisy na pewno nie są twoimi przyjaciółmi. A także i nie ślimaki, ani żmije (zwłaszcza te, które się hoduje na własnym łonie), ani białe motylki, żerujące z zapałem na kapuście, ani przeróżne inne insekty...

Kogo więc możesz nazwać przyjacielem? Naprawdę naszymi najlepszymi przyjaciółmi i właściwie jedynymi w przyrodzie są... pszczoły i ptaszki. (Oczywiście „żółtodzióby" i tzw. „niebieskie ptaszki" nie wchodzą w rachubę).

Pszczoła, to twój przyjaciel ze względu na miód, wosk i rozpylanie pyłku kwiatów owocowych.

A ptaki? — Robią to, czego nie potrafią setki uczonych, choć wymyślili D. D. T.: ptaszki chwytają owady. Owady niszczą plony. Z czego wynika, że ptaszki ratują nas od głodu.

Taka jest prawda życiowa wszystkich krajów europejskich. Można śmiało powiedzieć, że jesteśmy pośrednio na utrzymaniu ptaków, bo właśnie one zachowują równowagę w przyrodzie.



Ptak daje tobie, daj ty ptakowi — jeżeli jesteś prawdziwym przyjacielem. Jeżeli jednak okażesz się złym przyjacielem; jeżeli będziesz podkradał jajka dzikim ptakom, lub mordował je bez litości dla zaspokojenia potrzeb żołądkowych — chwyci cię w ręce... policja. Tak, tak, to nie żarty. Policja brytyjska otrzymała zarządzenie przytrzymywania bez skrupułów wrogów i niszczycieli ptasiego rodu.

Biada śmiałkowi, który lubi mięso... czajki.

Biada morderczemu zjadaczowi... jajek dzikich kaczek.



Czerwonogardlek (Erithacus rubecula) nosi na szyjce coś w rodzaju czerwonego szalika. (Szkoda, że panie nie mogą zobaczyć koloru). Jest obrońcą naszych ogrodów przed owadami-szkodnikami.



Drozd w swoim malowniczym mieszkaniu. Ptak ten jest namiętnym zjadaczem ślimaków.



Mysikrólik zdobył sobie sławę i uznanie całego świata — ponieważ spożywa gąsienice i poczwarki.

Gdy zobaczysz więc kogoś, przystawiającego drabinę do drzewa, na którym są gniazda z małymi — strąć go!

Bo zima, która się zbliża, niszczy całe masy ptaków, a pozostawia jeszcze większe masy ptaków chorych. Gdy więc nie damy na wiosnę i w lecie szansy odbudowania się ptasiej populacji, stracimy sojuszników w bitwie o żywność. A oto już byłby wielki błąd... polityczny.

Owady rozmnażają się w skandalicznym tempie. W ciągu jednej minuty na całym świecie rodzą się miliony szkodników. Np. jedna z plag naszych drzew — mucha **drosophila** — używana jest do badań przez uczonych, bo generacja za generacją tej muchy rozchodzi się po świecie znacznie nawet szybciej od... plotek. Tak, drogie panie, jesteście zdystansowane...



Na szczęście sytuacja ptaszków, nawet po ostatniej zimie, nie okazała się katastrofalna. Większość bowiem naszych skrzydlatych obrońców przed głodem lubi przenosić się w zimie do ciepłych krajów. Na wiosnę bociany (często z prezentami), tudzież inne ptaszki, jak powszechnie wiadomo, wracają do nas.

Z powodu ostatniej zimy ucierpiały dotkliwie tylko rodzime ptaki. Ginęły z głodu i mrozu. Ubyło gwiżdżących kosów i drozdów, które lubiły zjadać ślimaki na pierwsze danie, a owady na deser. Poginęły sikorki, wróble itd. Ale nie mamy prawa zapominać i o drapieżnikach. Sowa nie tylko symbolizuje mądrość, ale jest także zapalonym konsumentem myszy polnych i innych szkodliwych zwierzątek.

Trzeba wiedzieć, że rozsadnikiem czerwonej koniczyny, tak pożytecznej przy hodowli bydła — jest trzmiel. Na trzmiela poluje mysz polna. Na mysz polną sowa. Na sowę — łajdak. Stare angielskie przysłowie głosi —

Chłop, który sowę strzela
Nie będzie czerwonej koniczyny zbierał.

Morał: — Prawdziwego przyjaciela znajdziesz prędzej w brzydkiej sowie, niż... (resztę sam sobie dośpiewaj).

I drugi morał: idzie zima; nie zapominaj o ptakach!



Ptaki mają nie tylko wrogów wśród ludzi, lecz również wśród swych wielkich krewnych. Taki np sokół porywa i zabija małe ptaszki.



Czajka ma piękne przybranie głowy i równie piękną ideologię: zjada owady-szkodniki.



Sokół.



Przyjaciel ptaków buduje im domek na zimę. Nie zapominajmy, że właśnie ptaki są strażnikami naszych ogrodów i lasów, chroniąc je od owadzich szkodników.

A to, czy pani już wie?

Dlaczego...

Dlaczego na oficjalnej fotografii poślubnej książę Edynburga stoi po lewej stronie ks. Elżbiety, kiedy angielski zwyczaj każe, aby pan młody stał po prawej stronie?

Według angielskiego obyczaju, mężczyzna zawsze powinien się znajdować po prawej stronie; tradycja mówi, że datuje się to z czasów, kiedy noszono miecze stanowiące nieraz poważną groźbę dla szerokich i powiewnych strojów pań. Zwyczaj ten ma też swą praktyczniejszą wymowę; mężczyzna powinien mieć prawą rękę swobodną dla ewentualnej obrony swej towarzyszki w razie, gdy zajdzie tego potrzeba.

Książę Edynburga jednak musi według etykiety ustąpić miejsca po prawej stronie ks. Elżbiecie, która przewyższa go swym tytułem następczyni tronu. Jedynie tylko u stóp ołtarza wolno mu było zająć zwykłe miejsce pana młodego. Był to pierwszy i zapewne ostatni raz, gdy ks. Elżbieta ukazała się oficjalnie po lewej stronie swego męża.

Jaki...

Jaki tytuł nosi oficjalnie por. Mountbatten? Pełny tytuł, jaki przysługuje obecnie mężowi ks. Elżbiety, brzmi: Jego Królewska Wysokość, Książę Filip, Książę Edynburga. Jako brytyjskiemu księciu krwi przysługuje mu prawo podpisywania się samym tylko imieniem.

Kto...

Kto z członków zagranicznych rodzin królewskich był na ślubie ks Elżbiety? Byli: Andrea, księżna Grecji, matka pana młodego; króla Mary, król Norwegii Haakon; król Danii; król Michał rumuński; Feisal król Iraku; król Piotr jugosłowiański i królowa Aleksandra, królowa duńska; Helena, królowa rumuńska; królowa Wiktoria Eugenia hiszpańska i królowa Grecji.



*

Jak twierdzą dobrze poinformowani, było niemało kłopotu w Buckingham Palace z ustaleniem listy gości. Ks. Elżbieta i ks. Filip mają wielu osobistych przyjaciół, których koniecznie chcieli zaprosić. Królowa-matka Mary okazała się jednak bardzo wymagająca co do utrzymania względów etykiety i przepisów dworskich. Na liście przedstawionej przez księcia Filipa znajdowało się wielu jego przyjaciół z marynarki, którzy nigdy nie byli na dworze, a także — o zgrozo — parę osób rozwiedzionych. Wprawdzie w lecie tego roku — po raz pierwszy w historii — osoby rozwiedzione otrzymały pozwolenie wstępu na królewską Garden Party — lecz zaproszenie ich na ślub księżniczki wydawało się królowej Marii zbyt liberalne. Księżniczka jednak — zwykle ślepo posłuszna swej babce — wzięła tym razem stronę narzeczonego i w końcu udało im się razem przekonać starą królową.

Księżniczka Małgorzata była podobno trochę dotknięta, że jako drużka musi iść w parze z księżniczką Aleksandrą, która przecież... ma dopiero 10 lat. Ale cóż, skoro są równego wzrostu...

Najmłodsi...

Najmłodsi goście ślubni — dwaj 5-letni paziowie księżniczki: Michał książę Kentu i Wilhelm, książe Gloucesteru, namęczyli się niemało z olbrzymim, ciężkim trenem. W pewnej chwili napędzili nawet strachu zebranym, gdy po ukończonej ceremonii zaślubin, długą chwilę nie mogli sobie poradzić z podniesieniem go z wysokich stopni ołtarza. Król jednak zorientował się szybko i pomógł malutkim pazikom. W drodze do kaplicy Edwarda Wyznawcy, gdzie miano podpisać akt ślubny, mały książe Michał, bardzo już widać umęczony staniem, zaplątał się w koronki i upadł jak długi, nic mu się jednak nie stało i stanąwszy szybko na nogi, trzymał się dzielnie do końca ceremonii.

*

12-letni Feisal, król Iraku, czekając na swój powóz po ceremonii, wysunął się na podjazd, chcąc pooglądać sobie konie. Pilnujący porządku policjant, myśląc, że jest to jakiś ciekawy chłopak spośród publiczności, wziął go energicznie za rękę i kazał się cofnąć na miejsce. Bez słowa protestu, mały król posłuchał i stał grzecznie w tłumie, dopóki nie podjechała jego kareta.

O której godzinie...



Poszczególne części programu uroczystości ślubnych odbywały się z niezwykłą wprost punktualnością, jak obliczone co do minuty operacje strategiczne. Pan młody przybył do Opactwa o 11,17, na trzynaście minut przed księżniczką. Kiedy kareta wioząca króla i ks. Elżbietę zatrzymała się u bram kościoła, biła właśnie 11,30.

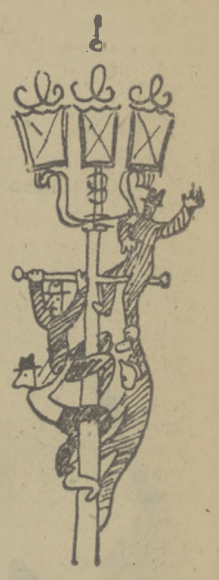
Tłumy cisnące się wzdłuż trasy, którą przejeżdżała młoda para udając się na dworzec Waterloo, były tak wielkie, że samochód dotarł na stację z pięciominutowym opóźnieniem. „Przykro mi strasznie", brzmiały pierwsze słowa ks. Elżbiety do pułkownika E. Gore Brown, prezesa Towarzystwa Kolei Południowych. „Nie było możliwości przedostać się prędzej".

Publiczność...

Publiczność angielska zawiodła tym razem tych, którzy uważają Anglików za najflegmatyczniejszy naród świata. Okrzykom i pozdrowieniom nie było końca. Wiele kobiet płakało. Długo po odjeździe młodej pary tłumy stały przed pałacem Buckingham, wołając rytmicznie: „My chcemy króla! My chcemy księżniczkę! My chcemy królową!" Cztery razy król i królowa ukazywali się na balkonie i cztery razy witała ich burza radosnych okrzyków.

Nie zawiodła jednak karność angielska. Stutysięczny tłum, zgromadzony wzdłuż trasy z Buckingham Palace do Opactwa, czekał cierpliwie i spokojnie, słuchając na ogół wskazówek policji i znosząc ze stoicyzmem fakt, że większość była w stanie zobaczyć tylko połyskujące szczyty karet. 2.551 osób zemdlało i natychmiast przeniesiono je do specjalnie zainstalowanego punktu pogotowia ratunkowego. Małe dzieci, które nie siedziały na ramionach dorosłych, podawano sobie z rąk do rąk ponad głowami, aż dotarły do pierwszego rzędu patrzących, skąd mogły wszystko oglądać. Policji nie udało się jednak powstrzymać ludzi od wdrapywania się na wszystko na co dało się wdrapać. Lwy koło kolumny Nelsona były obwieszone patrzącymi. Pełno było na dachach, na kolumnach, w oknach i na murach ogrodów. Jakiś mały chłopak wdrapał się nawet na bramę pałacu Buckingham wymykając się zręcznie oburzonym policjantom. Trzej strażnicy porządku publicznego musieli w końcu wdrapać się tam za nim i ściągnąć go za nogi, wśród rozbawionych okrzyków publiczności.

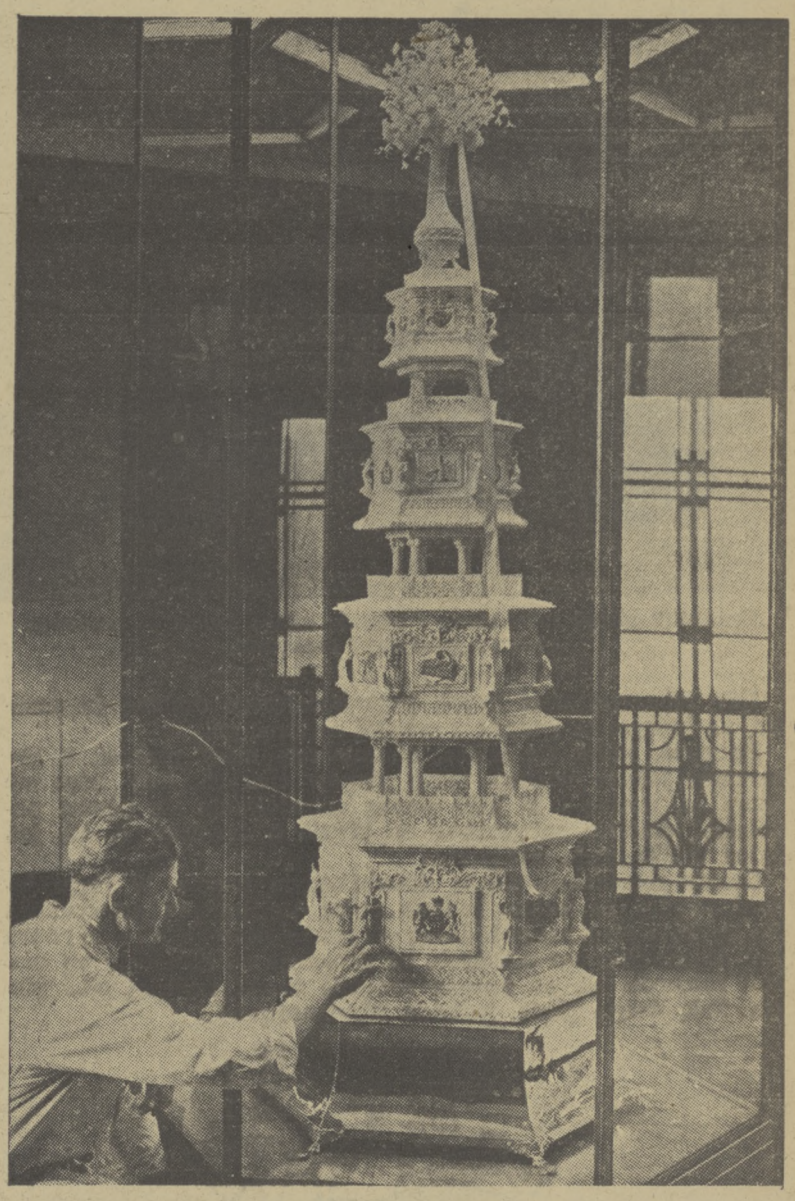




A złodzieje...

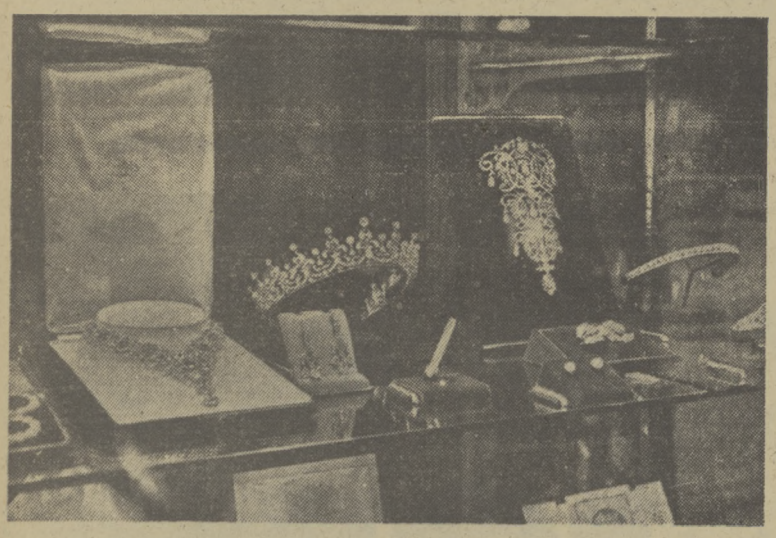
Złodzieje, proszę pani, i wszelkiego rodzaju kryminaliści, byli 20 listopada nieczynni. Poszli patrzeć na orszak ślubny. Scotland Yard, który otrzymuje przeciętnie jakieś 20 do 30 alarmujących telefonów dziennie, miał ich tego dnia tylko dwa. Wśród dwóch złodziei jednak się nie dociśnęło...

Tort-pagoda



Oto jest tort ślubny ks. Elżbiety, „słodki ciężar": około 250 kg! Podczas śniadania ślubnego, kiedy król wzniósł toast na cześć młodej pary, książę Filip dobył miecza — który należał ongiś do jego pradziadka — i razem z ks. Elżbietą pokrajał (a raczej chyba porąbał?) tort. Spodziewamy się, że dla wszystkich wystarczyło.

Wystawa prezentów ślubnych



Prezenty ślubne można oglądać w St. James Palace. Oto klejnoty księżniczki..



A oto piękna kolekcja antyków.

Suknie, prezenty i życzenia

Suknia ślubna ks. Elżbiety wystawiona jest w St. James Palace wraz z prezentami ślubnymi. Publiczność może ją tam oglądać codziennie od 10-tej do 5-tej, a dochód z biletów wstępu zostanie przeznaczony na cel dobroczynny.

W sobotę, niedzielę i poniedziałek po ślubie ks. Elżbiety każdy mógł też obejrzeć akt ślubny, wystawiony w Opactwie westminsterskim. Policja z trudem tylko utrzymywała porządek wśród tłumu ciekawych, którzy godzinami stali w ogonku.

Wiele osób przychodziło też oglądać bukiet ślubny, który na życzenie ks. Elżbiety został złożony na Grobie Nieznanego Żołnierza w Opactwie.

Ze wszystkich stron Anglii nadesłano niezliczoną ilość darów, nie wszystkie jednak mogły być przyjęte. Ks. Elżbieta kazała zwrócić z serdecznym podziękowaniem parę tysięcy kuponów odzieżowych, których wyrzekli się dla niej poddani jej ojca. Zwrócono także z podziękowaniem wiele darów zamorskich, nadesłanych w bardzo wyraźnych celach reklamowych. Kwiaty, którymi udekorowano pałac Buckingham zostały po uroczystościach rozesłane do szpitali londyńskich. Bardzo oryginalny był dar Szwajcarii, która ofiarowała się przyjąć 20 biednych dzieci angielskich na kilkotygodniowy odpoczynek, oraz zaopatrzyć je w ciągu tego czasu w potrzebne ubrania i buciki. Akcję tę zorganizowało Radio Lausanne. Dzieci wyjadą jeszcze przed świętami.

Do pałacu Buckingham nadeszło ponad siedem tysięcy telegramów gratulacyjnych od stowarzyszeń, instytucji i osób prywatnych. Ponieważ niemożliwe byłoby odpowiedzieć każdemu z osobna, wydane zostało ogólne, wspólne podziękowanie

DRODZY CZYTELNICY!

Bardzo żałujemy, że nie możemy zadowolić wszystkich, którzy pragną nabyć Nr. 48 „Głosu Anglii", ale nasz nakład (jak wszystko na świecie) ma swoje granice! Przede wszystkim więc z myślą o „poszkodowanych" — podajemy dziś dużą fotografię młodej pary i szereg dalszych wiadomości (i... plotek) ze ślubu.

Już wkrótce rozpoczniemy druk słynnej powieści szpiegowskiej z czasów ostatniej wojny, pióra Grahama Greene'a, p. t. „MINISTERSTWO STRACHU".

WALTER ALLEN

LAWRENCE — Z PERSPEKTYWY

Śmierć Lawrence'a wydaje się obecnie symbolicznym punktem zwrotnym w literaturze Zmarł on w 1930 r., mając lat 44, a dla młodzieży lat dwudziestych był bohaterem, ucieleśnieniem wiecznego shelleyańskiego buntu. Młodzież jednak lat trzydziestych czyta raczej Marksa. Przez 10 lat nastawienie społeczeństwa do Lawrence'a wyrażało się pod postacią albo wrogiej reakcji, albo znudzonej obojętności. Ze wszystkich prac o nim, które ukazały się w druku w początku lat trzydziestych, jedynie „D. H. Lawrence: A First Study" Stephen Pottera, „The Pilgrim of Apocalypse" Horace Gregory'ego i przedmowa do „Letters" Huxley'a posiadają obecnie wartość krytyczną.

Lawrence stawał się coraz mniej poczytny i widać z nieśmiałych wzmianek, które ukazują się o nim od czasu do czasu, że wydaje się on niewygodnym symbolem młodzieńczego entuzjazmu. Z jego dawnej sławy mało co pozostało prócz ogólnego mniemania, że był obciążony obsesją seksualną, a opinia ogółu była mu niechętna; twierdzono bowiem, że Lawrence w jakiś dziwny sposób był prorokiem nazizmu.

Obecnie, po upływie 17 lat, warto by spojrzeć na jego pracę z większym objektywizmem i ponownie go przeczytać. Przyjąwszy nawet, że forma jego dzieł jest nieraz niestaranna, że zbyt często wpada w przesadę, w gniewną gorycz i że czasami daje się opanować przez afektację, pozostaje niezbitym faktem, że jest on wielkim i jedynym w swoim rodzaju pisarzem i że najlepsze jego dzieła są równie świeże i nowe dzisiaj, jak wówczas, kiedy zostały napisane. Ponadto bieg wydarzeń, powszechna wiara w planową, naukową organizację, dodały wyjątkowego znaczenia temu, co twierdził Lawrence.

Utrzymuje się o nim mniemanie, że miał wielkie, lecz niewykorzystane zadatki na doskonałego powieściopisarza, ale że po napisaniu „Sons and Lovers" popadał coraz bardziej w wizjonerstwo i mistyczny dogmatyzm. Lecz cały późniejszy Lawrence tkwi w swych pierwszych trzech powieściach i w pierwszym tomiku poezji. Był w niezgodzie ze swoją epoką: nienawidził jej i gdyby żył, nienawiść ta niewątpliwie jeszcze by wzrosła. Od samego początku jedynym węzłem, który łączył go z epoką, był duch sprzeciwu. Shaw i Wells byli w Anglii pisarzami, którzy wywierali dominujący wpływ na młodego człowieka. W 1910 r. Lawrence pisał z Croydon: *„Wydaje się, że straciłem zupełnie kontakt z dawną „postępową" kliką... socjaliści są tak głupi, a fabianie tak nudni"*. W dwa lata później, pisze: *„Czytałem dziś „Anna of the Five Towns". Nienawidzę rezygnacji Bennetta. Tragedia naprawdę powinna być wielkim buntem przeciwko nieszczęściu. Ale „Anna of the Five Towns" wyraża jakąś rezygnację — tak jak zresztą cała ta nowoczesna pisanina z Flaubertem na czele — nienawidzę jej"*.

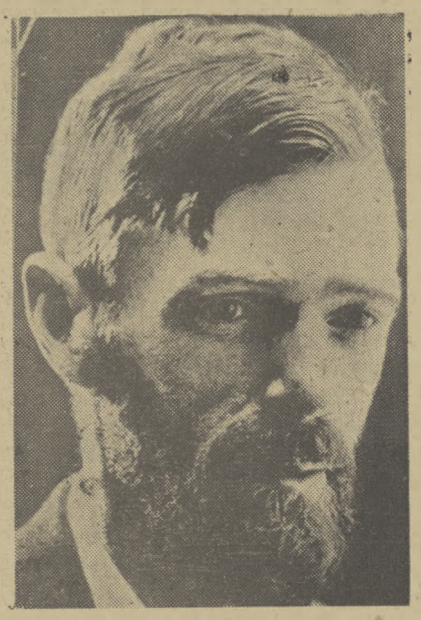
W swym stosunku do epoki, Lawrence był podobny do Blake'a z jego: „Voltaire, Rousseau, nie przestawajcie drwić!" Warto przypomnieć, że gdyby Blake urodził się o 150 lat później, podobnie jak Lawrence, byłby porwany w tryby owego mechanizmu, który przeniósł pisarza XX stulecia z klasy pracującej w obce mu środowisko drobno-mieszczańskiej inteligencji.

*

„Podobnie jak każdy człowiek obdarzony wielkim i oryginalnym talentem, Lawrence, dzięki swym zdolnościom, był w pewnym kierunku predestynowany. Próby zrozumienia go na podstawie przesłanek freudowskich mogą być ciekawe, ale nie tłumaczą go wcale" — pisze Aldous Huxley, i dodaje, że „dla każdego, kto czytał „Sons and Lovers" widoczne jest, że na Lawrence'a wywarła głęboki wpływ jego miłość do matki i przesadne uczucie, którym mu się odwzajemniała. Niemniej jasne jest, że gdyby nawet Lawrence stracił matkę, będąc jeszcze małym dzieckiem, pozostałby zasadniczo i niezmiennie sobą" Warto o tym wspomnieć w chwili, kiedy „analiza redukcyjna" pisarzy staje się ogólną metodą. Ale tak, jak w rozpatrywaniu istoty talentu Blake'a nie od rzeczy jest przypomnieć sobie, że jego ojciec był uczniem Swedenborga, podobnie we wczesnym dzieciństwie Lawrence'a znajdziemy czynniki, które wpłynęły na wyodrębnienie istoty jego talentu.

Geniusz Lawrence'a był typowo angielski i częściowo wynika z tego, że Lawrence był wychowany w niekonformiźmie, w tradycji religijnego odszczepieństwa. Bohater pięknej powieści Joyce Cary'ego „To be a Pilgrim" mówi: „Edward twierdził, że skutkiem wychowania protestanckiego ludzie stają się nieco zwariowani. Wychowanie to obciąża każdego odpowiedzialnością za grzechy całego świata i nie przewiduje żadnej od nich ucieczki — nawet w konfesjonałach". Lawrence nie był w żadnym razie zwariowany, lecz jego wychowanie było nie tylko protestanckie, ale i niekonformistyczne. Lawrence sam sobie zdawał sprawę z siły tkwiącej w nim tradycji niekonformizmu: wystarczy przejrzeć jego esszay „Hymns in a Man's Life". W chwilach, gdy przemawia najdosadniej, przypomina często miejscowego kaznodzieję niekonformistę, a Eliot słusznie zalicza go do nowoczesnych heretyków, ponieważ główny grzech niekonformisty — nieustępliwość, która zmusza człowieka do stworzenia sobie własnej religii, znajduje u niego genialny wyraz.

Lawrence pochodził ze sfery robotniczej. Nie mógł się pozbyć świadomości swego pochodzenia, bowiem świadomość ta trwa, mimo że człowiek wydostaje się ze środowiska, w którym się urodził Świadomość ta może być ukryta przed ludźmi i drażnić potajemnie; może być ona rów-



D. H. Lawrence

nież uczuciem wojowniczym i twórczym, jak to się da zaobserwować u naszych niektórych popularnych leaderów rządowych; ale może równie dobrze wyrodzić się w żółciową urazę, kompleks niższości, zatajony pod maską pogardy, mimo że dany człowiek cieszy się powodzeniem w oczach świata i równych mu ludzi. Takie uczucie urazy do własnego środowiska jest pewną formą nienawiści. Spotyka się je czasami w utworach H. G. Wellsa, np. w jego zupełnie bezrozumnej furii, z którą mówi o Oksfordzie.

Często spotykamy tę nienawiść u Lawrence'a. W swych nowellkach i powieściach wychwala robotników i arystokratów, ale nigdy burżuazję. Powtarzającym się motywem jest zdobycie przez proletariusza wysoko urodzonej *lady*; sam Lawrence, jako młody człowiek, naiwnie triumfował, że mógł poślubić baronównę. I ta zjadliwość właśnie, z jaką odnosi się do świadomości swego pochodzenia, jest niemiłą stroną jego talentu; dokuczliwy, drwiący ton, który zjawia się tam, gdzie wyobraźnia zawodzi. Dochodzi to w „Pansies" do zupełnie histerycznego oskarżenia drobnomieszczańskiej klasy, tej, która czytała jego książki. „Nie czuję tego tutaj" powiedział i przycisnął dołek rękami". W ten sam sposób zbił argumenty Huxley'a, występującego w obronie darwinizmu. Ostatecznie wszelki niekonformizm wyraża się w tym geście: „Nie czuję tego *tutaj*". Nie chciałbym poniżać niekonformizmu, ale nastawienie niekonformisty w połączeniu z rozdrażnioną świadomością klasową, mogą być przyczyną tego łającego i nieznośnego tonu moralnej wyższości, który czyni Lawrence'a tak podobnym do Carlyle'a w jego późniejszych dziełach.

*

Najważniejszą sprawą jest rozbieżność w nim samym, spowodowana przez kłótnie między rodzicami, których był świadkiem od dzieciństwa. Ojciec jego był górnikiem, prawie analfabetą, wrogiem intelektu i często się upijał, lecz braki te wynagradzał niezwykle żywym odczuciem życia i przyrody. Matka pochodziła z nieco wyższej sfery, miała umysł bystry, giętki i wnikliwy, *„przeznaczona* — jak Lawrence napisał pod koniec życia — *do odegrania poważniejszej roli w tej przeklętej burżuazji"*. Spotkanie rodziców jest najpiękniej opisane w pierwszym rozdziale „Sons and Lovers". *„Zmysłowy płomień życia, mroczny, złoty i miękki, promieniował z tego człowieka jak światło świecy — nie przytłumiony, ani rozżarzony przez myśl i dusze, jak jej własne życie; wydał jej się czymś niezwykłym, nieosiągalnym"*. Lecz małżeństwo ich było nieszczęściem i zabiło coś w duszy ojca. Dzieci były wychowane w atmosferze nieporozumień i w „Sons and Lovers" Lawrence mimo, iż stara się być sprawiedliwym, staje po stronie matki.

Ale nawet wówczas, jak i poprzednio, Lawrence był raczej podobny do ojca, mimo że nie zdawał sobie z tego sprawy. Jego wczesne poezje są radosnym i bezpośrednim, naturalnym oddźwiękiem na wrażenia otaczającego świata. Tak właśnie reagował na świat ojciec Lawrence'a. Sam Lawrence, jak to ostatnio stwierdził George Orwell, nie był nigdy górnikiem, lecz tak sobie wyobrażamy górnika wobec piękna natury: wynurza się co dzień z ciemności szybu i codziennie ogląda nowo-narodzony świat. Jego pierwsze powieści i poematy są pełne tej radosnej, naiwnej, lirycznej wizji.

W następnych powieściach wizja rozszerza się i pogłębia, mimo że pierwszą zapowiedź tego pogłębienia spostrzec można już w „The White Peacock". W tej książce Lawrence pominął problem ojca i prawie zupełnie tę postać przemilcza. Przemawiający w imieniu Lawrence'a narrator tej powieści, Cyryl, to młody człowiek, syn drobnomieszczańskiej rodziny, którego ojca prawie wcale nie poznajemy, wiemy tylko tyle, że jest to nikczemny typ, który opuściwszy żonę, umiera w połowie akcji. Mimo to niesłatwo Lawrence'owi przyszło uśmiercić ojca; zanim zakończył powieść — przypisał Cyrylowi nieomal synowski stosunek do gajowego Annable, *„człowieka, przesiąkniętego jedną tylko myślą — że cała kultura to pobielony grób, kryjący w sobie zgniliznę — Annable nienawidzi każdego, najdrobniejszego śladu kultury"*. Był on przez jakiś czas duchownym i mężem córki lorda, której *„dusza go pragnęła"*. *„Zawarła znajomość z poetą i zaczęła się nosić à la Burne-Jones — czy raczej Waterhouse, była bardzo podobna do jednego z jego typów kobiecych, zdaje się do t. zw. „Lady of Shalott"*. A biały paw, któremu książka zawdzięcza tytuł, który zanieczyszcza grobowce na starym cmentarzu, jest wg. słów Annoble'a *„wcieleniem duszy damy... do końca jest kobietą, powiadam ci — jest tylko wrzaskiem, próżnością i nieczystością"*, innymi słowy tym czynnikiem destrukcyjnym, którym tego typu kobieta była przez długie lata dla Lawrence'a. W „The White Peacock" gajowego Annable pokonuje wysoko urodzona dama — prawie dwadzieścia lat później Lawrence mści się na niej, jako gajowy Mellors w „Lady Chatterley's Lover". Sytuacja ta, wyniesienie pierwotnego mężczyzny przez uduchowioną kobietę, jest archetypowa dla Lawrence'a, a lordówna, żona Annable'a, przeradza się w Miriam w „Sons and Lovers", w Hermione Roddice w „Women in Love", w żonę Aarona w „Aaron's Rod"; ten sam temat jest szeroko i szczegółowo rozwinięty w serii poematów autobiograficznych pt. „Look, we have come through".

*

Annable jest oczywiście wysoce wysublimowanym portretem ojca Lawrence'a. Lawrence był antyintelektualistą, ale chcąc wyrazić swoją wizję, musiał swój antyintelektualizm przeintelektualizować. A niezaprzeczenie posiadał wizję. Negatywnie wyraził ją w swym essay'u o Poem w „Studies in Classic North American Literature". Pisze tam: *„Owe straszliwie świadome stworzenia, jak Poe i jego Ligeia, zaprzeczają samemu życiu, które w nich tkwi, chcą je obrócić w rozmowę, w poznanie. A życie, które nie pozwala dać się poznać, opuszcza je"*. Życie nie da się poznać, oto zasadnicza koncepcja Lawrence'a. Lawrence był pewnego rodzaju mistykiem i potężny fakt istnienia jest dla niego tajemnicą. Tajemnica ta nie ma być pojmowana ani tłumaczona terminologią rozumu i logiki — które ją zabijają. Można jej doświadczyć — przekazać ją za pomocą bezpośredniej intuicji. Dla Lawrence'a wartość ludzi polega wyłącznie na tym, jak dalece są świadomi tajemnic, jak dalece tajemnica w nich tkwi. A ponieważ analizowanie i intelekt naukowca zabijają tajemnicę, rozkwita ona najżywotniej tam, gdzie umysł analizujący naukowy jest najsłabszy, na poziomie instynktów, w stosunkach seksualnych, w impulsywnym życiu zwierząt i przyrody, w doświadczeniu śmierci.

Ten rodzaj wizji tłumaczy zarówno jego odrębną metodę tworzenia postaci, jak i jego lata wędrówek po kuli ziemskiej, od Nottingham do Meksyku poprzez Niemcy, Włochy, Cejlon, Australię, Amerykę i z powrotem do Włoch. Jeden ustęp w książce Grahama Greene'a „Journey without Maps" rzuca wiele światła na Lawrence'a: „Wydaje się, że Liberia na jakiś czas zaspokaja tęsknotę za czymś utraconym — wydaje się, że obrazuje jakieś poprzednie stadium życia. I dalej: Kiedy widzimy do jakiego braku szczęścia, do jakiej grozy wymarcia doprowadziły nas wielki panowania mózgu, ogarnia czasem ciekawość zbadania, czy odkrycie tego, z czego pochodzimy, nie przypomni nam, w którym to miejscu zaczęliśmy błądzić". Lawrence był opanowany czymś więcej niż tęsknotą, miał coś więcej niż ciekawość, był oczywiście człowiekiem o wielkich zdolnościach intelektualnych, w zwykłym tego słowa znaczeniu znakomicie „zdawał egzaminy". Posiadał także w niezwykłym stopniu zdolność do tego, co Jung nazywa prymitywnym myśleniem i odczuwaniem.

Ażeby móc wyrazić w powieści te nieznane, a raczej nieświadome rodzaje bytu, Lawrence musiał się wyrzec zasad tworzenia postaci według ogólnie przyjętej recepty. Sposób tworzenia postaci jest pewną konwencją — większość powieściopisarzy zwykle bierze postacie z otoczenia, jak gdyby dając opis zachowania aktorów na scenie: wnioskujemy o wzruszeniu z gestu. Problemem, który Lawrence chciał rozwiązać, była próba wyrażenia wzruszenia i uczucia istniejących pod powierzchnią gestu. Nie może on oczywiście zupełnie obejść się bez gestu. Prostym przykładem jego metody jest opis kradzieży w „Aaron's Rod": *„Idąc do domu zatrzymał się nagle w chwili, kiedy przechodził koło Bargello. Zatrzymał się i sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni — nie znalazł w niej portfelu. Okradziono go. Wydało mu się, że w tej chwili przeleciała przez niego błyskawica, że prąd elektryczny spłynął po nim przez stawy kolan i wyszedł stopami i pozostawił go stojącego tam, niemal nieprzytomnego. Przez chwilę nieprzytomny i nieświadomy stał nadal. Był okradziony. Sięgnęli ręką do jego piersi i okradli go"*.

Postać u Lawrence'a *„umiera"*, *„mdleje"*, *„stapia się w twardą kulkę"*, *„staje się doskonałą"*. Szuka on *„po omacku"* słów, by nimi wyrazić rzeczy ściśle niewyrażalne. Ale język, którym się posługuje, jest zgodny z rytmem nieświadomego życia.

Ponieważ opisuje charaktery na poziomie nieświadomego, w głębinie i w ciemności, często niesłychanie trudno wiedzieć, o czym właściwie są takie jego powieści, jak „The Rainbow", czy „Women in Love". Jeżeli uznajemy „psychologię głębin", musimy przyznać Lawrence'owi prawo do terenów, które sobie obrał i spodziewać się, że przyszli powieściopisarze będą w dalszym ciągu tereny te badać. Każde takie badanie musi się posługiwać symbolami, ponieważ dziedzina nieświadomości siłą rzeczy jest niepoznawalna. Lawrence jest mistrzem symbolu w znaczeniu psychologicznym.

*

Jasne jest wobec tego, że wędrówki Lawrence'a po całym świecie nie są „eskapizmem" w zwykłym rozumieniu tego słowa, nie są również spowodowane obrażonym uczuciem prześladowanego. Koniecznością dla Lawrence'a była próba znalezienia tła i narodu, gdzie wiedza byłaby intuicyjna a symbol żywym jej wyrazem. Lawrence jako Lawrence, musiał po prostu być boleśnie zwiedziony przez nowoczesne i zindustrializowane społeczeństwo. „The Plumed Serpent" możemy uważać za ostatnią rozpaczliwą próbę powołania do życia wysiłkiem woli takiego rodzaju życia, jaki sobie wymarzył. Wysiłek ten był z konieczności daremny. Zdaje się, że to „The Plumed Serpent" wywołał oskarżenia Lawrence'a o to, że jest prekursorem nazizmu. Ale hitlerowskie Niemcy były właśnie tym wysoko uprzemysłowionym, naukowo obmyślonym i rządzonym państwem, którego Lawrence tak namiętnie nienawidził, a należy wyraźnie zaznaczyć, że już w r. 1924 przejrzał on na wskroś istotę Niemiec.

Lawrence w końcu znalazł owo tło i owych ludzi, których poszukiwał — znalazł ich w przeszłości, u starożytnych Etrusków. Ich sposób życia — nie wiem, czy jego interpretacja jest uznana przez historyków — Lawrence opisuje w jednej ze swych najbłyskotliwszych i najbardziej wzruszających książek podróżniczych „Etruscan Places". Pisze tam, co następuje:

„Wykute w skale nagrobki wydają się tak przyjacielskie. Schodząc w ich głąb nie odczuwa się przygnębienia — jest tam prostota połączona z jakąś szczególną, naturalną spontanicznością w kształtach tych podziemnych ścian i przestrzeni, które od razu uspokajają duszę. Grecy starali się wywołać wrażenie, a architektura gotycka jeszcze bardziej chce zaimponować umysłowi. Nie tak Etruskowie. To, co stworzyli w swych beztroskich stuleciach, jest równie swobodne i łatwe jak oddychanie."

Pozwalają piersiom oddychać, z jakąś pełnią życia... to jest właśnie prawdziwa cecha Etrusków: swoboda, naturalność, pełnia życia, bez konieczności zmuszania umysłu czy duszy do jakiegokolwiek kierunku.

A śmierć dla Etrusków była przyjemnym dalszym ciągiem życia, z klejnotami i winem, z fletami przygrywającymi do tańca. Nie była to ani ekstaza szczęścia, niebo, ani czyściec udręki. Był to po prostu naturalny dalszy ciąg pełni życia. Wszystko u nich wyrażało się w terminologii życia".

„Etruscan Places", „Apocalypse" i garść wierszy wydanych pt. „Last Poems", oto kwintesencja całego Lawrence'a. Wydane po jego śmierci, dzieła te są jeszcze stosunkowo mało znane, ukazały się też po napisaniu krytycznych essay'ów Pottera i Gregory'ego. Należy tego żałować, ukazują bowiem nie nowego Lawrence'a, ale Lawrence'a, którego geniusz pogłębiał się aż do chwili śmierci. Różnią się od wszystkich poprzednich jego dzieł pogodą nastroju, szlachetnym i dostojnym stylem. Nie ma tu drwin, ani goryczy — ani rozdrażnionego niepokoju. W wierszach „The Ship of Death" i „Shadows" Lawrence osiągnął nieskazitelną czystość wyrazu, niezrównaną we współczesnej poezji.

Nasz KSIĄŻEK

Autobiografia W. Cobbetta

Książka ta, której pierwsze wydanie ukazało się w r. 1933 pt. „The Progress of a Plough-Boy to a Seat in Parliament (Od pługa do krzesła w parlamencie), zapoznaje nas z Cobbettem o wiele lepiej niż wszystko, co o nim dotąd napisano. Nie trudno zgadnąć, dlaczego: książka bowiem w wielkiej mierze jest nową autobiografią, w zamiarze napisania której przeszkodziła Cobbettowi przedwczesna śmierć. Oczywiście zaś komentowanie życia Cobbetta nie może dorównać temu, co on sam miał o sobie do powiedzenia. Na rok przed śmiercią w wydawanym przez siebie czasopiśmie „Political Register" zapowiedział autobiografię w następujących słowach: „Jednym z moich głównych celów jest stwierdzenie przyrodzonych praw ludzi pracujących; stwierdzenie, że natura często ich obdarza wyższością nad urodzenie, tytuły czy majątek... Chciałbym, żeby na pierwszej stronie książki była rycina przedstawiająca mnie u góry w ubraniu roboczym, spędzającego wrony z pola, u dołu zaś stojącego w Izbie Gmin, w chwili, kiedy zwracam się do speakera".

Cobbett umarł, nim zdążył napisać zapowiedzianą książkę, ale na szczęście we wszystkich jego pismach znajduje się wiele szczegółów autobiograficznych, które p. Reitzel, dzięki swej umiejętności i rozumowi, potrafił wyłuskać z dzieł Cobbetta: „Peter Porcupine", „The Political Register", „Rural Rides", „Advice to Young Men" etc. Reitzel dał nam w dużej mierze zamierzoną autobiografię, od słów: „Wychowałem się za pługiem..." aż do ostatnich: „Jeżeli mam jedno gorętsze od innych pragnienie, to mianowicie to, żebym ciesząc się mym ogrodem i kilku polami mógł być pewien, że Anglia będzie równie wielka, a jej pilni, pracowici, poczciwi i cnotliwi mieszkańcy równie szczęśliwi, jak wówczas, kiedy się narodziłem".

Książkę czytają wprawdzie w niektórych szkołach i na kursach dokształcających, ale dobrze byłoby, by ukazała się również w tanim, broszurowanym wydaniu i by korzystano z niej we wszystkich — nie tylko średnich — szkołach. Nie ma moim zdaniem książki, która by dawała lepsze zrozumienie problemów dnia dzisiejszego; zaś aktualność jest najlepszym sprawdzianem wartości klasycznego dzieła.

MILLICENT ROSE

DWAJ MALARZE ŚWIATA PRACY

Począwszy od pierwszych lat XIX stulecia, większość angielskich artystów uważało życie miejskie za coś zbyt brzydkiego, by je malować. Woleli szukać bardziej „dekoracyjnych" tematów na wsi. A tych niewielu artystów, którzy (jak sir Charles Holmes) malowali fragmenty widoków miejskich, robiło to zazwyczaj z estetycznego, a nie z humanistycznego punktu widzenia. Pokazują oni raczej kształt, kolor i „fakturę" miast, niż życie ich mieszkańców.

Lecz od czasu do czasu zdarzało sie, że malarz, mieszkający w mieście bywał tak oczarowany otoczeniem, że czuł niejako przymus uwiecznienia go. Takimi artystami są dziś L. S. Lowry i George Downs.

L. S. LOWRY

Miejscem rodzinnym Lowry'ego jest Pendlebury, jedno z miast otaczających Manchester. Miasta te zmieniły południową część hrabstwa Lancashire w jedną z najgęściej zabudowanych okolic na świecie. Ta część hrabstwa, ze swymi ciągnącymi się na kilometry bezbarwnymi brukami, z niekończącymi się rzędami małych domków i fabrykami, nad którymi unosi się wilgotne, czarne od sadzy niebo, nie jest bynajmniej czarującą okolicą. Chociaż Lowry mógł z łatwością opuścić Pendlebury — zawód jego dawał mu przecież całkowitą wolność w wyborze miejsca zamieszkania — to jednak mieszkał w domu swych rodziców, a tematy swych obrazów czerpał głównie z otaczającego go życia. Nawet kiedy robił wyprawy nad morze, lub przebywał z przyjaciółmi w pięknych, rolniczych okolicach Lancashire, powracał zawsze do Pendlebury, by tu szkice swoje przerzucać na płótno.

Chociaż Lowry stał się sławny w ciągu ostatnich kilku lat, pozostał jednak typowym przedstawicielem Lancashire, zarówno w swym ubiorze i sposobie mówienia, jak i w swej sztuce. Nie należy on do żadnej „grupy". W czasie swych rzadkich wizyt w stolicy z okazji urządzanych tam wystaw jego prac ci, którzy mieli sposobność go poznać, uważali, że jest człowiekiem czarującym i towarzyskim, nie lubiącym wszakże przesiadywać do późnej nocy. Jednak dopiero wśród swych przyjaciół z Pendlebury, Lowry czuje się naprawdę dobrze. Nie są to artyści, lecz ludzie pracujący zawodowo, przeważnie doktorzy; dzieli on z nimi jedno wielkie zamiłowanie, a mianowicie słuchanie muzyki. I właśnie oni, oraz stara gospodyni, która przebywa w rodzinie Lowrych już 30 lat, są zaufanymi krytykami jego obrazów.

Ponieważ Lowry nie stosuje się do żadnych bieżących prądów, ludzie często biorą go za „prymitywa". W rzeczywistości jednak opanował on doskonale „rzemiosło" i otrzymał pełne wykształcenie w Szkole Sztuk Pięknych w Manchesterze. To, co na pierwszy rzut oka wydaje się u niego naiwne, jest subtelnie przemyślanym efektem. Był na przykład krytykowany w związku z tym, że postacie jego nie rzucają cieni. Nie wypływa to ani z braku umiejętności, ani z braku obserwacji. Jest to środek, którym Lowry posługuje się, by postacie jego odznaczały się jak największą precyzją kształtu i ruchu, a jednocześnie by podkreślały specyficzny, bezbarwny blask ulic Lancashire.

Zakres używanych przez niego kolorów jest ograniczony, a zarazem tak charakterystyczny, że prace jego już przez to samo można natychmiast rozpoznać. Używa on następujących kolorów: czarnego, prawie czarnego, cynobru, różowego, jasno zielonego, jasno żółtego, czasem jasno niebieskiego, z przeświecającym białawo-szaro-żółtym gruntem. Oprócz cynobru, który rozłożony jest na płótnie w niespodziewanych plamach, trochę tak jak u Brueghela, nie ma u niego wcale jaskrawych kolorów; obrazy nie działają mocnymi efektami — ale skromną, pełną wdzięku subtelnością.

„Jarmark" — który reprodukujemy — jest typowym dla Lowry'ego obrazem i wykazuje jego mistrzostwo w portretowaniu charakteru ludności Lancashire. Nie ma nic trudniejszego do malowania, jak tłum; niewielu nowoczesnych malarzy ośmiela się o ten temat pokusić. Lowry widzi setki mieszkańców Manchesteru na jarmarku, a interesuje go to, że każda osoba wśród tego tłumu, to odrębna indywidualność, zajęta w pewien sobie właściwy sposób pracą albo zabawą. Zamiast podejść do nich impresjonistycznie jako do zestrojów plam barwnych, Lowry wyodrębnia każdą postać a jednocześnie upraszcza ją, dając jedynie jej zasadnicze elementy.

Na pierwszym planie handlarze sprzedają małe wiatraczki i balony, dwóch przyjaciół spotyka się, rodziny spacerują ze swymi pieskami, a dzieci w stożkowatych kapeluszach z papieru biegają wokoło. Tłum gromadzi się wokół straganów, a na dalszym planie rozprasza się w mglistym tle krajobrazu podmiejskiego. Obrazy te, które na pierwszy rzut oka robią wrażenie dziecinnej karykatury, są wysoce realistyczne. Nie należy jednak sądzić, że są one naturalistyczne.

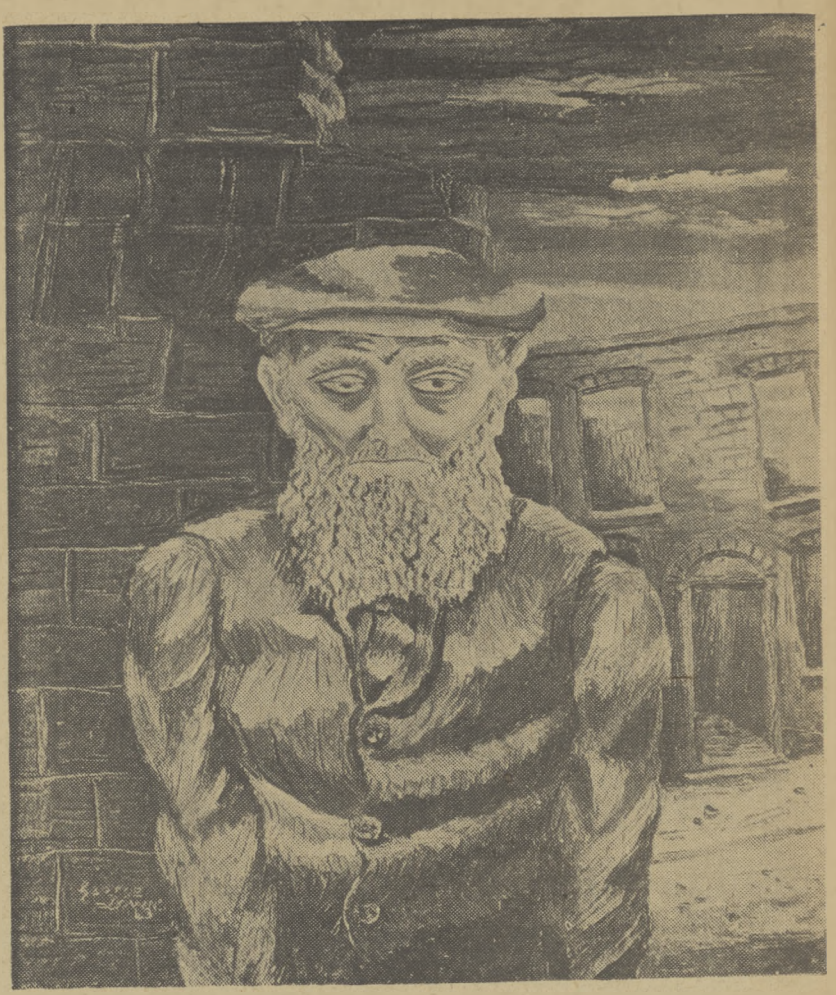
Chociaż Lowry jest oczarowany otaczającym go światem i odnosi się do niego z pełnym zrozumieniem, pochodzi ze średnich klas i patrzy na robotnika z Lancashire raczej z punktu widzenia zainteresowanego obserwatora, niż jego towarzysza.



L. S. Lowry: „Jarmark"

G. DOWNS

George Downs, który pochodzi z londyńskiego proletariatu miejskiego, jest daleko bliższy ludzi, których maluje. Urodził się w Bermondsey, londyńskiej dzielnicy robotników portowych i fabrycznych, która leży niedaleko doków Surrey. Zarówno jego ojciec, jak i matka pracowali w miejscowym barze. George'a oddano pod opiekę babki. Często jednak wymykał się z pod jej nadzoru, by płatać figle na ulicach wraz z innymi łobuzami z Bermondsey, lub uczepiwszy się z tyłu ciężarówki przejechać się trochę w stronę doków.



George Downs: „Zbombardowany"

Dorósłszy, poszedł w ślady swych rodziców i został kelnerem. Lecz wolny od pracy czas spędzał w National Gallery, gdzie przepyszne kolorystycznie dzieła dawnych mistrzów przykuwały coraz bardziej jego uwagę. Mając 29 lat, zdecydował, że mimo braku odpowiedniego przygotowania zostanie malarzem. Był już wówczas żonaty i miał dwóch małych synków. Aby móc zarabiać na życie w sposób, któryby zostawiał mu dużo wolnego czasu na malowanie, otworzył „interes" na Caledonian Market, słynnej „tandecie", która przed wojną odbywała się dwa razy w tygodniu w północnej części Londynu. Tutaj można było kupić używane meble, ubrania, owoce, biżuterię i wszelkiego rodzaju „okazje" nowe i stare. W dnie targowe George stał za swoim straganem, rozkładając towary i zachwalając ich zalety z całych sił swych płuc — przez resztę tygodnia malował.

Prace jego wykazały, że jest niezwykle uzdolniony, zarówno w dziedzinie koloru, jak i rysunku. Poznał się na nim jego sąsiad z zachodniej części Londynu, Julian Trevelyan, oraz inni artyści. Zaprzyjaźnili się z nim i dali mu polecenie, które umożliwiło mu rozpoczęcie sprzedaży jego obrazów

George postanowił zostać malarzem częściowo wskutek oglądania obrazów. W jego pierwszych pracach, n. p. w portrecie syna widać, że mamy do czynienia z artystą, który zna nowoczesne malarstwo francuskie. Nie jest on jednak tylko wnikliwym obserwatorem życia, lecz również kimś, kto rozumie, co się na świecie dzieje i kto czuje się w obowiązku wyrazić swe własne poglądy w malarstwie. Patrząc w roku 1938 na małą twarzyczkę swego syna, na której malowała się żarliwa ciekawość, pomyślał o zbliżającej się wojnie i wyraził ją symbolicznie, malując bombowiec na niebie.

George Downs maluje olejno. Technika jego jest ciężka i przypomina raczej mozajkę, albo witraż, niż konwencjonalne malarstwo olejne, gdyż żywe plamy barwne otacza czarnymi obwódkami. Perspektywa i anatomia w jego ujęciu są inne od ogólnie przyjętych, osiąga on jednak dziwnie przekonywujące efekty w przedstawianiu przestrzeni i głębi, a postacie jego są pełne żywej indywidualności.

Malował zawsze sceny ze współczesnego życia, których przeważnie sam był świadkiem. Rozpoczął od widoków Londynu jak Lambeth Walk z rzędem straganów, sprzedawcami owoców i kupującymi gospodyniami. Kiedy zaczęła się wojna, służył w Obronie Cywilnej a godziny wolne od zajęć spędzał, wędrując po ulicach londyńskiej dzielnicy portowej. Uwiecznił naloty nieprzyjacielskie w serii notatek rysunkowych, z których najwybitniejszą jest może portret starego krawca żydowskiego, stojącego bez marynarki przed swym zniszczonym domem. Rzeczą zasługującą na uwagę jest to, że artyści, mający już pewną markę, tacy jak Sutherland albo Piper, malowali opuszczone ruiny zbombardowanej wschodniej dzielnicy Londynu. George Downs jednak, który wzrastał na ulicach dzielnicy portowej, zaludniał zawsze swe krajobrazy zniszczonego miasta. A zaludnia je tymi postaciami, które nawet w najgorszym okresie 1940—1941 roku wytrwały w Londynie, pomimo wszelkich ataków nieprzyjacielskich.

George Downs jest dobrze znany z dorocznych wystaw Międzynarodowego Związku Artystów i z wielu londyńskich galerii. Wśród dzieł, znajdujących się na tych wystawach, obrazy jego, moim zdaniem, tracą jego zestawienia kolorystyczne i zawsze wydają się trochę za śmiałe wśród spokojniejszych obrazów bardziej konwencjonalnych malarzy. Obrazy jego ukazują się w całym swym pięknie, oglądane w jego pracowni w Chiswick lub w prywatnym mieszkaniu.

Wraz z nastaniem pokoju George Downs przerzucił się do malowania martwych natur i krajobrazów. Wierzy on, że obowiązkiem artysty jest rozbudzenie zapału do życia u wszystkich tych, którzy oglądają jego obrazy. Maluje więc barwne kwiaty albo świeżą zieleń angielskiej wsi. W czasie swych ostatnich wakacji na wschodnim wybrzeżu malował pejzaże morskie, wywołując pięknie zobrazowaną mozaiką barwną niezwykłe wrażenie.

Lecz i w tych obrazach nigdy nie traci zainteresowania dla człowieka. Rybak w każdym jego pejzażu morskim gra poważną rolę. Zaś w widokach wsi mamy wycieczkowiczów, którzy jadą na rowerach i podziwiają krajobraz. Nawet tu George Downs jest wciąż jeszcze mieszkańcem miasta, chociaż w swych ostatnich obrazach porzucił temat Londynu „wojennego", i zwrócił się do Londynu rozbawionego.

English without Tears

SUNDAY: Competition VI. Some more problems to test listeners' knowledge of English.

MONDAY: (Elementary) Uses of the word *then*. See text below.

TUESDAY: (Elementary) „Ann and her Grandfather" conversation. See text below.

WEDNESDAY: (Elementary) „Ali Baba and the Forty Thieves" Part II—a story from the „Thousand and One Nights".

THURSDAY: (Advanced) „Brown Family" conversation.

FRIDAY: (Advanced) Reading from Charles Dickens's „Pickwick Papers". Chapter number to be announced.

SATURDAY: (Advanced) Answers to listeners' questions.

Lekcja dziewięćdziesiąta dziewiąta

THEN

1st VOICE: English by Radio! Today we're going to talk about the word *then*.

2nd VOICE: *Then* is generally used as an *adverb*. It may mean *at some time in the future, or in the past*. For example: Ann will go to London on Monday, and *then* she will buy a hat.

1st V: In that sentence *then* means at some time in the *future*. Here is another example: When I know his address, *then* I can write to him.

2nd V: And now here is an example with *then* meaning at some time in the *past*:

1st V: Din't you write that letter yesterday?

2nd V: No, I was too tired to write it *then*. In this case *then* means *at that time*.

1st V: John is taking an examination at school *now*. His father wanted him to take it last year, but he was too young *then*. John would rather take it next year, but he will be too old *then*.

2nd V: The adverb *then* can also mean *next in order of time, coming just afterwards*. For example: John had a bath; *then* he went to bed. Or we could say: John had a bath *and then* he went to bed.

1st V: Mrs. Brown drew the curtains; *then* she switched on the light. Or, Mrs. Brown drew the curtains and *then* switched on the light.

2nd V: Sometimes, of course, the interval of time may be a rather longer one, as in this example: Henry came home on Wednesday, and *then*, next day, he went to the theatre.

1st V: Sometimes *then* is used as a *noun meaning that time, that moment*. For instance: I met the girl yesterday for the first time: I had never seen her before *then*. In that example *then* is used as if it were a noun, meaning *that time*, and the preposition *before* is used in front of it.

2nd V: Here are some more examples of *then* used as if it were a *noun*: We shall be starting at four o'clock, so we must all be ready by *then*. I'll come and see you at Christmas; goodbye until *then*.

1st V: Sometimes *then* has the meaning of *in addition, moreover*. For example:

2nd V: How many people are you expecting to come?

1st V: Well, there are six children, *then*, or *and* then, there's the teacher. That means there are six children, *and in addition* there's the teacher.

2nd V: *And then*, there are other meanings of the word *then*. It can have the meaning of *from what you say*, or *from what you say it seems that*; for instance, in this sentence:

1st V: *Then* you don't think this plan is a good one? That means *from what you say it seems that* you don't think the plan is a good one.

2nd V: Or sometimes we can put the word *then* at the end of the sentence and say: You don't think this plan is a good one, *then*?

1st V: *Then* you didn't expect me home so early? Or, You didn't expect me home so early. *then*?

2nd V: *Then* sometimes means *in that case, that being so*. For instance: You say you left the book on the table. *Then* it ought to be there now.

1st V: That means: *In that case* it ought to be there now.

2nd V: If you left the book on the table, *then* it ought to be there now. *In that case* it ought to be there now.

1st V: I didn't mean to do it.

2nd V: *Then* why did you do it? In short replies we can often put *then* afterwards, and say: Why did you do it, *then*?

1st V: *Then* you often hear the phrases *very well then*, or *well then*. For instance:

2nd V: I don't want to go today.

1st V: *Very well then*, let's go tomorrow. Or, *Well then*, let's go tomorrow.

2nd V: Or sometimes you hear people use the phrase *all right then*:

1st V: Mary doesn't want to come with us.

2nd V: *All right then*, let her stay at home.

1st V: I think it's time to end our lesson now.

2nd V: *Well then*, we must say goodbye, listeners.

WTEDY, POTEM

GŁOS I: Angielski przez radio. Dziś będziemy mówić o słowie *wtedy*.

GŁOS II: „*Wtedy*" używa się zazwyczaj jako *przysłówka*. Może ono oznaczać: *kiedyś w przyszłości lub w przeszłości*. Na przykład: Anna pojedzie do Londynu w poniedziałek i *wtedy* kupi kapelusz.

GŁOS I: W tym zdaniu *wtedy* oznacza kiedyś w *przyszłości*. — Oto inny przykład: kiedy dowiem się jego adresu, *wtedy* mogę napisać do niego.

GŁOS II: A teraz drugi przykład z *wtedy* oznaczającym kiedyś w *przeszłości*:

GŁOS I: Czy nie napisałeś tego listu wczoraj?

GŁOS II: Nie, byłem zanadto zmęczony, by go *wtedy* napisać. W tym wypadku *wtedy* znaczy *w tym czasie*.

GŁOS I: Jan zdaje *teraz* egzamin w szkole. Jego ojciec życzył sobie, by zdał go zeszłego roku, ale on był *wtedy* za młody. Jan wolałby go zdawać raczej w przyszłym roku, ale *wtedy* będzie za stary.

GŁOS II: Przysłówek *wtedy* może również oznaczać *następny w porządku czasowym, zaraz w następnej chwili*. Na przykład: Jan wykąpał się **potem** (następnie) poszedł do łóżka. Lub możemy powiedzieć: Jan wykąpał się i *wtedy* poszedł do łóżka.

GŁOS I: Pani Brown zapuściła firanki, *wtedy* zapaliła światło. Lub, p. Brown zapuściła firanki i potem zapaliła światło.

GŁOS II: Czasami, oczywiście, odstęp czasu może być trochę dłuższy, jak np. w tym przykładzie: Henryk przyjechał do domu we środę i *wtedy*, następnego dnia, poszedł do teatru.

GŁOS I: Czasemi *wtedy* jest użyte jako *rzeczownik*, oznaczając *ten czas, tę chwilę*. Na przykład: Spotkałem dziewczynę wczoraj po raz pierwszy. Nigdy jej *przedtem* nie widziałem. W tym przykładzie przysłówek *wtedy* jest użyty rzeczownikowo, oznaczając *ten czas*, a przyimek *przedtem* kładzie się przed nim (before then).

GŁOS II: Oto dalsze przykłady *wtedy*, użytego rzeczownikowo: Wyruszać będziemy o czwartej godzinie, więc musimy wszyscy być *wtedy* gotowi. Przyjdę i zobacze cię na Boże Narodzenie; żegnaj do *wtedy*.

GŁOS I: Czasami *wtedy* ma znaczenie *w dodatku, ponadto*. Na przykład:

GŁOS II: Ilu ludzi spodziewasz się, że przyjdzie?

GŁOS I: A więc sześcioro dzieci, ponadto, lub i *ponadto* nauczyciel. To znaczy, że jest sześcioro dzieci i *w dodatku* jest nauczyciel.

GŁOS II: *W dodatku*, oto jeszcze inne znaczenie słowa *wtedy*. Może ono mieć znaczenie: *z tego co ty mówisz*, lub *z tego co ty mówisz, wydaje się, że...* Na przykład w tym zdaniu:

GŁOS I: *Zatem* ty nie sądzisz, że ten plan jest dobry? To znaczy, *z tego co ty mówisz, wydaje się, że* nie uważasz, by ten plan był dobry.

GŁOS II: Czasami możemy umieścić słowo *wtedy* na końcu zdania i powiedzieć: nie uważasz, żeby ten plan był dobry, zatem?

GŁOS I: Zatem nie spodziewałeś się, że wrócę do domu tak wcześnie.

GŁOS II: *Wtedy* znaczy, w takim wypadku, *w tym stanie rzeczy*. Na przykład: mówisz, że zostawiłeś książkę na stole. *A zatem* powinna być tam teraz.

GŁOS I: To znaczy: *W takim wypadku* powinna być tam teraz.

GŁOS II: Jeśli zostawiłeś książkę na stole, *zatem* powinna być tam teraz. *W takim wypadku* powinna być tam teraz.

GŁOS I: Nie miałem zamiaru tego robić.

GŁOS II: *A zatem* dlaczegóż to robisz? W krótkich odpowiedziach możemy często kłaść *wtedy* na końcu. Dlaczegóż to zrobiłeś, *zatem*?

GŁOS I: *Następnie*, często słyszysz zdania *Świetnie więc*, lub *dobrze więc*. Na przykład:

GŁOS II: Nie mam ochoty iść dzisiaj.

GŁOS I: *Świetnie więc*, chodźmy jutro lub *dobrze* więc, chodźmy jutro.

GŁOS II: Czasami słyszy się, jak ludzie używają zdania: *w porządku więc*:

GŁOS I: Marysia nie ma ochoty pójść z nami.

GŁOS II: *W porządku więc*, pozwól jej zostać w domu.

GŁOS I: Sądzę, że już czas, by skończyć naszą lekcję teraz.

GŁOS II: *Dobrze więc*, musimy się pożegnać, słuchacze.

Lekcja setna

ANN GOES FOR A WALK

GRANDFATHER: Ah, here you are at last, Ann! You said you were going out for only ten minutes, and *then* you stayed out for more than an hour.

ANN: I'm sorry if you've been wanting me, Grandfather. But it was so nice out.

G'FATHER: Well *then*, I'll forgive you for being away so long. You certainly look very well after your walk. Where did you go? Did you meet anyone you know?

ANN: I'll just go and put away my hat and coat, Grandfather, and *then* I'll tell you all about it. ... Well, Grandfather, I went to the tailor's to see if your trousers had been mended.

G'FATHER: And are they mended? Did you bring them back with you?

ANN: No, Grandfather. They won't be ready until the end of next week.

G'FATHER: What! Not until *then*?

ANN: No, Grandfather, but *then* I think they're going to be mended very well, so well that you won't be able to see where the turkey tore them.

G'FATHER: H'm! That turkey will have cost me some money by the time we eat it!

ANN: Never mind, Grandfather. By *then* you'll have forgotten all about the cost of it.

G'FATHER: Perhaps I shall. Well, Ann, you went to the tailor's about my trousers, and afterwards — *what then*?

ANN: Well, *then* I was going to come straight home. I was just going to cross the road when someone touched my arm —

G'FATHER: Was it Mrs. Brown?

ANN: No, it wasn't Mrs. Brown.

G'FATHER: Who was it, *then*?

ANN: It was Henry.

G'FATHER: Oh, has he come home, *then*?

ANN: Yes, Grandfather. He came home from Oxford yesterday.

G'FATHER: Ah! *then* the real reason why you were so long is that you've been talking to Henry.

ANN: Yes, Grandfather. He had so much to tell me that we went for a walk together.

G'FATHER: I see, you went off together *there and then*. Well, how is Henry getting on with his studies?

ANN: I think he's doing very well, Grandfather. He says he will be taking his final examination the year after next, and *then* he hopes he'll be able to get a good job.

G'FATHER: So he's already making plans for the future. Is that what he was talking about, Ann?

ANN: Yes. But the future is a long way off, Grandfather.

G'FATHER: Ah, *then* you're not thinking of leaving me just yet, Ann.

ANN: Of course I'm not, Grandfather!

ANNA IDZIE NA SPACER.

DZIADEK: Ach jesteś tu nareszcie, Anno! Powiedziałaś, że wychodzisz tylko na 10 minut a *następnie* byłaś nieobecna przeszło godzinę.

ANNA: Przykro mi, jeśli czekałeś na mnie, Dziadku. Ale było tak ładnie na dworze.

DZIADEK: Dobrze *więc*, przebaczę ci, że byłaś poza domem tak długo. Niewątpliwie wyglądasz bardzo dobrze po tym spacerze. Gdzie chodziłaś? Czy spotkałaś kogo znajomego?

ANNAANNA: Pójdę tylko zdjąć mój kapelusz i płaszcz, Dziadku, i *wtedy* opowiem ci wszystko... A zatem, Dziadku, poszłam do krawca, by zobaczyć czy twoje spodnie zostały naprawione.

DZIADEK: I czy są naprawione? Czy przyniosłaś je ze sobą z powrotem?

ANNA: Nie Dziadku, nie będą gotowe przed końcem następnego tygodnia.

DZIADEK: Jakto, aż *do tego czasu*?

ANNA: Nie Dziadku, ale *wtedy* myślę, że będą one bardzo dobrze naprawione, tak dobrze, że nie będziesz mógł dostrzec, gdzie indyk je rozdarł.

DZIADEK: Ten indyk będzie mnie kosztował sporo pieniędzy, do czasu, kiedy go zjemy.

ANNA: Nic sobie z tego nie rób, Dziadku. *Do tej pory* zapomnisz o wszystkim, co cię kosztowało.

DZIADEK: Możliwe, że zapomnę. A więc Anno, poszłaś do krawca w sprawie moich spodni, a potem, cóż *następnie* było?

ANNA: Otóż następnie miałam wracać prosto do domu. Miałam właśnie przechodzić ulicę, kiedy ktoś dotknął mego ramienia.

DZIADEK: Czy to była pani Brown?

ANNA: Nie, to nie była pani Brown.

DZIADEK: Któż to był *zatem*?

ANNA: To był Henryk.

DZIADEK: Och, czy przyjechał on *zatem* do domu?

ANNA: Tak Dziadku. Wczoraj przyjechał z Oksfordu do domu.

DZIADEK: Ach, *zatem* prawdziwa przyczyna dlaczego byłaś tak długo to ta, że rozmawiałaś z Henrykiem.

ANNA: Tak Dziadku, miał mi tak dużo do powiedzenia, że poszliśmy razem na spacer.

DZIADEK: Widzę (rozumiem), chodziliście razem *tu i tam*. A jak Henrykowi powodzi się w naukach?

ANNA: Sądzę, że bardzo dobrze, Dziadku. Twierdzi, że będzie zdawał celateczny egzamin za dwa lata, a *wtedy* ma nadzieję, otrzymać dobre zajęcie.

DZIADEK: Tak więc robi już plany na przyszłość. Czy o tym mówił z tobą Anno?

ANNA: Tak. Ale przyszłość ma jeszcze daleką drogę do przebycia, Dziadku.

DZIADEK: *A zatem* nie masz zamiaru mnie opuszczać jeszcze teraz Anno.

ANNA: Oczywiście, że nie, Dziadku!

Wielką korzyść przyniesie uczącym się po angielsku **słuchanie lekcji, nadawanych przez radio brytyjskie codziennie w godzinach:**

06.45—07.00 na fali: 1796; 456 m; 49.59; 41.21 m.
07.00—07.15 na fali: 267 m; 41.32; 31.50; 25,30 m.
08.45—09.00 na fali: 1796, 267, 456 m; 49,59; 41,21; 31,17 m.
11.45—12.00 na fali: 1796 m.
12.30—12.45 na fali 31.50; 30,96; 25.30; 19.61; 19.42 m.
13.00—13.15 na fali: 1796; 456; 267; 41,21; 31,17; 25,15 m.
14.00—14.15 na fali: 41,49; 31,01, 19.91 m.
16.45—17.00 na fali: 267; 41.32; 31,50; 25.30; 19,42.
19.15—1930 na fali: 456; 40,98; 31,17; 49,59.
22.45—23.00 na fali: 1796 m.
23.45—24.00 na fali: 1796; 456; 49,59; 40,98.

Streszczenie wiadomości dyktowane powoli dla uczących się angielskiego:

11.30—11.45 na fali: 1796 m
12.15—12.30 na fali: 31.50; 30.96; 25.30; 19.61; 19.42 m.
13.15—13.30 na fali: 1796; 456; 267; 41.21; 31.17, 25.15 m.
19.00—19.15 na fali: 456, 40.98; 31.17; 49,59 m.
22.30—22.45 na fali: 1796 m

NASZA korespondencja

Sławomir Sopot. Zapewne nie uszła uwadze Redakcji notatka pt. „Lekcje angielskiego" zamieszczona w 39 nr. „Świata Młodych" w rubryce „Poniekąd".

Jako Polak czuję się zawstydzony tego rodzaju wzmianką i głupimi (gdyż tylko tak je mogę określić) uwagami. Doceniam zupełnie znaczenie zamieszczania w Ich tygodniku lekcji nadawnych przez BBC i tym większą przykność sprawiają mi dodatki występujące w „Świecie Młodych".

Dziękujemy za zwrócenie nam uwagi na notatkę i za słowa uznania. Zdziwiliśmy się bardzo, że Młodzi w Polsce nie posiadają lepszego humorysty. Jeśli chodzi o dowcipną krytykę rządu angielskiego, mogą przecież korzystać z Puncha, — do oglądania w naszej Redakcji codziennie od godziny 10-tej do 13-tej.

J. G. Katowice. Pozwalam sobie zwrócić się z prośbą o udzielenie mi następujących wyjaśnień: 1) Czy wychodzi w Anglii pismo ilustrowane, które zajmuje się dziedziną spraw morskich. 2) Na jakich warunkach mógłbym je ewentualnie zaprenumerować o ile istnieje.

1) W Anglii istnieje pismo poświęcone sprawom morskim. Jest to „Navy", Navy League, Grand Buildings, Trafalgar Square. London, W. C. 2. Jest też inne: Nautical Magazine, Arch. H. Ferguson, 52-58 Darnley Street, Glasgow, S. 1. 2) W sprawach prenumeraty daliśmy już wyjaśnienia w numerach 26 (35), i 46 (55) „Głosu Anglii.

Stała Czytelniczka Lublin. Jestem stałą czytelniczką „Głosu Anglii" korzystającą pilnie z lekcji języka angielskiego, zamieszczanych w tym tak sympatycznym i pożytecznym piśmie. Ostatnio jestem bardzo zmartwiona tym, że „Głos Anglii" przestał zamieszczać dialogi „Rodziny Brown"... Jestem jedną z tysiącznych zastępów ludzi niedokształconych z powodu wojny i nie mających pieniędzy na lekcje prywatne. Ja zresztą pragnęłabym swą wiedzę o języku angielskim czerpać z najlepszego na świecie źródła — z Anglii.

Bardzo żałujemy, że nie możemy na stronie lekcji zmieścić także Rodziny Brownów. Niestety mając do wyboru lekcje dla początkujących i lekcje dla zaawansowanych, musimy czynają się dopiero uczyć, ponieważ sądząc z otrzymywanej korespondendać pierwszeństwo tym, którzy zaczji jest ich więcej. Sądzimy też, że ci, którzy umieją już na tyle, aby korzystać z konwersacji państwa Brown, łatwiej znajdą sobie materiał do przerabiania (Gazety angielskie, nowele, powieści) niż ci, którzy muszą walczyć z podstawowymi trudnościami języka.

J. K. Warszawa. W związku z dyskusją czytelników „Głosu Anglii" co do stylu tłumaczeń, wydaje mi się, że osiągnęli Panowie bardzo dobre rezultaty. Nie wiem czy wszystkie teksty w „Głosie Anglii" (również rubryka „Nasza korespondencja") są tłumaczone z angielskiego na polski lub pisane przez Brytyjczyków, ale jeśli tak, to myślę, że dobrze rozwiązana została trudność ścisłego tłumaczenia w połączeniu z odpowiednim stylem i, że teksty te z łatwością trafiają do czytelnika w Polsce. Życzę Panom dalszego powodzenia w pracy.

Cieszymy się bardzo, że czytelnicy zaczynają już rozumieć naszą polszczyznę. Rubryka „Nasza korespondencja" powstaje naturalnie na podstawie wspólnego, międzynarodowego wysiłku polsko-brytyjskiego, wszystkie inne artykuły są tłumaczone w pocie czoła „żywcem" z angielskiego. Dziękujemy bardzo za uznanie dla potu czoła.

J. K. W. Łódź. Zwracam się do Szanownych Panów z gorącą prośbą o podanie mi za wszelką cenę dokładnego adresu oraz obecnego miejsca pobytu angielskiego muzyka Noela Mewton Wood, o którym przeczytałem wzmiankę w nr. 45 Waszego pisma. Gdyby to nie leżało w Waszej mocy, proszę mi wskazać instytucję, która by uczyniła zadość mej prośbie.

Leży nie tylko w naszej mocy, ale też w książce telefonicznej: Neol Mewton Wood, 33, Portland pl. London, W. 1.

Steeple-chase... na motorze

To wspaniały sport: wyścig motocyklowy na przełaj, po górzystym, nierównym terenie. Nazywa się **scrambling**, a słowo „scramble" znaczy po angielsku „gramolić się". — Przy wyścigu po takim terenie koniowi pękłoby serce! Sport ten znajduje coraz więcej amatorów. Rekrutują się oni w znacznej części z byłych wojskowych łączników motocyklowych.

W scramblingu zwycięża najszybszy zawodnik. Tym różni się ten sport od tzw. „wyścigów wytrzymałości", w którym zawodnikowi nie wolno tylko jechać poniżej pewnej minimalnej — ściśle określonej szybkości. Zwycięzcą „wyścigu wytrzymałości" (w przeciwieństwie do scramblingu) jest motocyklista, któremu udało się przejść „najczyściej" poszczególne etapy trudnej trasy, a więc błoto, strome wzgórze, wodę itd.

Przestrzeń 2 lub 3 kilometrów w okolicy trudnej do przebycia, to najdogodniejszy teren dla scramblingu.

Zawodnik po starcie może wyprawiać, co mu się żywnie podoba ze swym motorem, byle tylko nie omijał trasy i nie blokował swych kolegów. Mimo trudnego terenu rzadko się zdarza, aby nawet po ciężkim upadku z motorem odniósł ktoś poważne kontuzje. Jedną z przyczyn „bezpieczeństwa" scramblingu jest fakt, że zawodnicy ubrani są w specjalne stroje, a ich ochronne hełmy kontroluje przed wyścigiem Związek Motocyklowy (w rękach tej instytucji spoczywa kierownictwo sportu motocyklowego w Anglii). Wielu amatorów scramblingu jak wyżej wspomnieliśmy, to byli wojskowi. Lecz zawodnicy nie muszą być tak młodzi, jakby to się (sądząc z warunków wyścigu) wydawało. Przeciętny wiek scramblisty to 30-tka, a dwóch czołowych przedstawicieli tego sportu, Colin Edge z Chester i Ted Wilmot z Surrey, przekroczyło nawet 40-tkę. Scrambling zdobył sobie popularność dzięki temu, że w tym sporcie bardziej niż w innych, człowiek stawia czoło ciężkim warunkom przyrody — to właśnie daje wielką satysfakcję (podobnie jak w narciarstwie). I nawet ci, którym dane było przyjść ostatnimi na finiszu, cieszą się, że ukończyli bieg.

Mało zawodników może liczyć na zwycięstwo. A nawet zwycięzca nie dostaje w nagrodę nic więcej, oprócz małego srebrnego pucharu, lub 5 funtów szterlingów. Tym tłumaczy się zupełny brak zawodowców w tym sporcie.



Jeden z pionierów scramblingu — znany motocyklista Les Archer — w terenie.



Zawodnik zaczyna „gramolić się" na wzgórze, używając wszystkich możliwych sposobów.



Przy pomocy lin udało się jakoś „trójce" wywindować na górę. W scramblingu wszystkie chwyty są dozwolone.



Kąpiel błotna; ale nie ma złej drogi — dla motocyklisty!



„Proszę nie zbaczać z trasy" — woła sędzia terenowy (z opaską) do ślizgającego się na murawie zawodnika.



Publiczność udziela „doraźnej pomocy" zawodnikowi w „gramoleniu" się na wzgórze.

Lawton na sprzedaż

Na pierwszy plan w galerii najwybitniejszych sportowców brytyjskich wybija się obecnie postać Toma Lawtona, środkowego napastnika reprezentacji Anglii. Ma on za sobą rzadkie doświadczenie: reprezentował swój kraj w cztery zaledwie dni po pojawieniu się w słabym zespole trzeciej klasy Ligi! Jedynym precedensem pod tym względem był Cook z Bringhton, który będąc tak samo „graczem trzeciej klasy", wystąpił w reprezentacji Anglii przeciw Walii. Ale to było dwadzieścia lat temu. Tommy Lawton oddawną zresztą nie jest już „graczem trzeciej klasy". Parę dni temu zaledwie, figurował jako gwiazda pierwszej wielkości na liście graczy do odstąpienia, opublikowanej przez klub Chelsea. Przypuszczano ogólnie, że Sunderland, Blackburn i Rovers lub Derby County zdobędą owego najznakomitszego strzelca od czasów słynnego Dixie Deana. Tymczasem Lawton zrobił wszystkim niespodziankę i powrócił do trzeciej klasy, od której zaczął swą karierę. Przyjął mianowicie ofertę słabego klubu Notts County.

Notts, najstarszy klub ligowy, założony został w 1862 r., a w 25 lat potem był jednym z dwunastu pierwszych członków Ligi.

Po wielu latach pobytu w trzeciej klasie, Notts County przedsięwziął ambitne plany odzyskania dawnej sławy. Najważniejszym posunięciem jest „nabycie" Toma Lawtona. Chelsea przyjął rekordową ofertę siedemnastu tysięcy funtów za swego asa.

Notts County wynalazł dla Lawtona dom i zajęcie w handlu, które daje mu większe dochody, niż te, jakie mógłby uzyskać ze swych piłkarskich występów.

Lawton ma dwadzieścia osiem lat, 1,98 m wzrostu i 84 kg wagi. Jest on jednym z najlżejszych piłkarzy tego wzrostu. Swą wspaniałą karierę rozpoczął, mając lat 12, jeszcze w szkole, w swym rodzinnym miasteczku Bolton w Lancashire. Już wtedy odznaczał się zaletami zdolnego strzelca. Grał w zespołach juniorów „Bolton" i „England Boys", a w wieku szesnastu lat wstąpił do klubu Burnley, gdzie wkrótce zdobywał już bramki w meczach ligowych. Burnley — ubogi klub — potrzebował pieniędzy, toteż odstąpił Lawtona Evertonowi za 7 tysięcy funtów, co (biorąc pod uwagę młody wiek gracza) było ceną rekordową.

Dwa lata temu Lawton postanowił porzucić Everton dla Chelsea. Obecnie, w pięć minut po przywdzianiu barw klubu trzeciej klasy, zdobył główką bramkę w Northampton, dzięki czemu Notts uzyskał pierwsze w sezonie zwycięstwo na cudzym boisku.

Notts County ubezpieczył swą kosztowną gwiazdę przeciw wypadkom na sumę 25 tysięcy funtów.

Kącik szachowy

Z ostatniego meczu radiowego W. Brytania—Australia.

Obrona francuska

Białe: R. J. Broadbent
Czarne: G. Koshnitzky

1. e4, e6 2. d4, d5
3. Gg5, c5 4. Hg4, Se6
5. Sf3, Se7 6. Gd3, Sf5
7. G×S, e6×G 8. Hg3, h6
9. H4, g6 10. 0—0, Ge6
11. Sc3, S×d4 12. S×S, e5×S
13. Se2, Hb6
14. Wd1, Gc5

Czarne mają zamiar zachować jak najdłużej przewagę jednego pionka, ale ich położenie nie jest szczęśliwe jak się wydaje. Roszada z każdej strony będzie niebezpieczna.

15. a3, a5 16. Wb1, g5
17. Hh4×g5? (Słabo zagrane, gdyż otwarta linia dla wieży może stać się niebezpieczna dla białych 17... h×g5)
18. Hd3 (groziło: d4—3) f4? (Lepiej było Gd7 z groźbą: Gb5 jak również Hh6)
19. b4, a×b 20. a×b, 0—0—0
21. G×f4, Ge7 22. Gg3, Gd7?

(Trudno znaleźć dobre posunięcie, ale g5—4 warto było spróbować).

23. S×d4, Ge6 24. c3, Wh6
25. Wa1, Kd7 26. f3, Wc8
27. Gf2, W(!)h8 28. Ge3, Wh1+
29. Kf2, W×W 30. H×W, Wc8
31. Ha4+, Kd8 32. Wh1, Gd7
33. Wh8+, Kc7 34. Se6+(!), H×S
35. Ha5+ i czarne się poddają wobec mata w dwóch posunięciach (...35. Kb8; 36. Ga7+etc. ...35. b6; 36. Ha7+ i H×b6 mat; i jeśli ...35. Kc6; 36. b5 i mat od razu).

Wydawca: Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. — Redaguje: Komitet Redakcyjny. — Adres Redakcji: Kraków, Garncarska 14/2. — Redaktor przyjmuje od g. 11—12. Adres kolportażu i prenumeraty: Kraków Powiśle 7 — Prenumerata miesięczna: bez odnoszenia do domu: 55 zł, z odnoszeniem 60 zł. pod opaską administracji 61 zł, przez urzędy pocztowe 62 zł. — Konto PKO nr IV—777 „Czytelnik". Kraków — Drukarnia Państwowa nr 1, Kraków, Wielo pole 1.